MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 41. WARSZAWA, 6 PAŹDZIERNIKA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

NASZA ROCZNICA

PRZED DZIESIĘCIU laty o tej porze przystąpiliśmy do wydawania „Myśli Narodowej“ w jej dzisiejszym charakterze i kształcie, jako tygodnika poświęconego kulturze twórczości polskiej. Od tego czasu pismo nasze, zyskawszy szerokie koło przyjaciół z pośród najbardziej oświeconych sfer społeczeństwa, ukazywało się bez przerwy. Gdyby chodziło tylko o efekt statystyczny, to możemy sobie wyobrazić go bibljotecznie, jako sto zgórą tomów (po 300 stron) tekstu. Chodzi jednak o zawartość i o efekt w kulturze umysłowo-społecznej.

Pracowaliśmy nad uświadomieniem ideowem w społeczności, która na chybotliwej fali dokonywających się przemian, łatwo stracić mogła orjentację, gdzie jej brzeg i nadzieja. Przekonali się chyba w Polsce już wszyscy, że potrzebna jest w ręku busola ideowa. Figlami i kombinatorstwem może sobie urozmaić krótki żywot jakieś pokolenie, ale dziejom potrzebna jest ciągłość i celowość, a te zapewnia idea historyczna narodowa.

Praca nad poczytalnością dziejową w tym okresie była trudna ze względu na zamęt wniesionych do zjednoczonej Polski form bycia i sposobów myślenia, posiłkujących się nawet mitologją tam, gdzie twórczość wymagała uświadomienia sobie rzeczywistości. Owszem, mieliśmy wrażenie nieraz, że cała energja będących w rozporządzeniu środków skierowana była ku temu, aby rzeczywistości nie było widać i żeby znajdowała dla siebie fałszywą wykładnię.

Nieliczna prasa codzienna kierunku narodowego boryka się z faktami bieżącemi, gdzieś jednak musi być pracownia, gdzieby myśl, operując faktami, jako przykładami, urabiała sobie metodę pracy nad sobą samą. Na całym świecie, na szczytach najwyższych kultur, ludziom mądrym głowa trzeszczy od troski o dobrą myśl dziejową. W Polsce panuje apatja, jakby to było wszystko jedno, co się robi, a za sankcję uchodzi powodzenie doraźne. Widać to nietylko z tego, że myśl narodu, że moralność, tkwiącą w stosunku do narodu, podaje się w poniewierkę, ale i z tego, że ludzie krytyczni nie idą z dostatecznym sukursem do tych, którzy tę myśl i moralność organizują.

A chaos bynajmniej się nie zmniejsza; przed dziesięciu laty opinja była klarowniejsza, niż dzisiaj, stosunek do spraw bardziej aktywny. Jak widać z wynurzeń tych sfer, które się chełpiły, że one myślą za społeczeństwo, — nikt nie ma pojęcia, co dalej robić. Odstraszający ten przykład lekceważenia idei i programu powinien wstrząsnąć uśpioną umysłowością ogółu narodowego. Uległa ona pokusie drzemki, słuchając monotonnej kołysanki, że ktoś, że jakaś elita myśli za wszystkich. Zapewniano nas, że nawet k u l t u r ę państwo dostarczy gotową, nie zdając sobie sprawy, że kultury nie można nadać społeczeństwu mechanicznie środkami materjalnemi i biurokratycznemi, lecz że ona wytwarza się w duszach obywateli, wciągniętych do pracy twórczej i służby ofiarnej. I tylko wysiloną pracą duchową narodu dojść można do wielkich rezultatów nawet w warunkach ubóstwa materjalnego.

W takich warunkach bezmyślności najłatwiej jeszcze o pomysłowość w kierunku maskowania rzeczywistości i stwarzania pozorów. Żyjemy w czasach kłamstwa i rozrywek. Cała usilność wkładana jest w sposoby wprowadzania w błąd, konspirowania i odwrócenia uwagi. Prasa, wal-

cząca w ten sposób z opinją narodową, czyni wielkie spustoszenia w moralności publicznej i w umysłowości. Dosyć przyjrzeć się wydawnictwom „kulturalnym", aby zauważyć, że one współzawodniczą między sobą o to, które skuteczniej ogłupi czytelnika. Zadaniem ich stało się: 1) nie dotknąć — Broń Boże — prawdy, 2) popisać się talentem pisania o rzeczach publicznych wbrew przekonaniu, 3) wykazać się służbistością, 4) dostarczyć czytelnikowi rozrywki umysłowej (przyczem jakikolwiek pożytek nie jest już rozrywką). Wszystko skierowane jest ku temu, aby czytelnik zwątpił o potrzebie zdrowego rozsądku i uczciwości, a przedewszystkiem o potrzebie dochodzenia myślą i czynem — prawdy.

Prasa obozu narodowego, zewsząd osaczana, wymijana milczeniem i bojkotowana (zawsze przy pomocy żydów) nie powinna być wpychana na tę pochyłość. Czytelnicy z tytułu swego uświadomienia mają obowiązek domagać się od niej nie rozrywki, lecz pożytecznej dla ducha strawy, zachęcać ją do wytrwania i zasilać materjalnie. Gdy świat sztuczny i zakłamany idzie ku bankructwu, sztandar idei narodowej staje się coraz wyrazistszy. Skupiajmy się koło niego!

Od przyjaciół pisma naszego odbieramy często dowody uznania i wdzięczności za to, że traktujemy serjo swoich czytelników. Stosunek nasz do nich oparty jest na wzajemnem zaufaniu, że obu stronom zależy na prawdzie. Niezawsze literatura może być efektowna, ale zawsze powinna mieć wewnętrzną wartość. Nie na wszystko stać nas materjalnie, ale nas stać na odwagę niezależności. Hasło tej niezależności i odwagi trzeba szerzyć wśród słabszych duchem.

*

Pierwszy numer „Myśli Narodowej" w minionem dziesięcioleciu wyszedł 3 października 1925 r. Treść jego była następująca: Twórczość polska, przez Z. Wasilewskiego. — Rozrost społeczny włościaństwa, p. B. Wasiutyńskiego. — O muzyce, p. J. Weyssenhoffa.—Z cyklu: Mój świat, p. J. Kasprowicza. — Grabinka (nowela), p. St. Godlewskiego. — Głosy, p. J. Rembielińskiego. — Melancholikom dla rozrywki, p. A. Marylskiego. — Rubryki: Przegląd polityczny, Wychowanie narodowe, Nowe książki, Kronika ogólna.

*

Z pośród osób w owym numerze zamieszczonych na liście współpracowników, nie żyją już w tej chwili: ś. p. ś. p. Zdzisław Dębicki, Józef Hłasko, Jan Kasprowicz, Leszek Konopacki, Antoni Marylski, Stefan Olszewski, Wł. Reymont, Wacław Sobieski, Józef Weyssenhoff, Maryla Wolska.

DZIEŁO WOLI

W POŁOWIE WRZEŚNIA w Norymberdze parlament Rzeszy niemieckiej uchwalił prawo, mocą którego żydzi przestają być obywatelami państwa i mogą tylko być do niego „przynależnymi". Tym oto aktem państwowym zakończono w Niemczech pierwszy okres zmagania się narodu niemieckiego z najazdem żydowskim. Ujęcie sprawy w normy prawne ułatwi Niemcom zadanie, które, jak się przekonano, dużemi jest obciążone trudnościami. Dość powiedzieć, że na sześćset tysięcy żydów całkowitych, po dwu i pół-letnich wysiłkach tak licznego i zwartego narodu, jak Niemcy, zdołano usunąć dopiero około stu tysięcy izajaszowych „robaczków jakubowych".

Jak wszędzie, tak i w Niemczech żydzi głęboko wżarli się, ale tylko w wierzchnią warstwę społeczeństwa. Lud pozostał nietknięty. Dlatego inicjatywę w sprawie żydowskiej Hitler mógł wydobyć tylko z najszerszych warstw chłopskich, rzemieślniczych i małomieszczańskich. Mimo to ideja a następnie czyn Hitlera znalazły poparcie w sferach naukowych pod postacią teorji rasowej, co dało sprawie tak ulubioną przez Niemców barwę naukowości i ciężar gruntowności. Jakkolwiek cały prąd teoretyczny rasowców niemieckich, zmącony zamiarami politycznemi, wiele budzi zastrzeżeń, to jednakże w stosunku do żydów ruch ten pozostanie słuszny. Ustawa uchwalona w Norymberdze nietylko pozbawia żydów obywatelstwa niemieckiego, ale zabrania mieszanych małżeństw aryjsko-żydowskich, a nawet wszelkich pozamałżeńskich z żydami stosunków.

Tym sposobem naród niemiecki uwolnił się od rządów i wpływów żydostwa w dziedzinie politycznej i społecznej, kulturalnej i rasowej. Pozostała dziedzina gospodarcza prędzej czy później będzie z żydów oczyszczona. Wprawdzie ze skutków rozkładowego działania żydowszczyzny Niemcy długo jeszcze leczyć się będą musiały, ale już dziś powiedzieć można, że weszły na najpewniejszą drogę do zdrowia i siły. Prócz tego przez sam fakt własnego wyzdrowienia zbawiennie na resztę narodów zażydzonych oddziałają, ludy bowiem, jak ludzie, chociażby jasną pośród siebie wiedzę posiadały, głuche są na słowa mądrości, zwłaszcza — rodzimej, a ulegają tylko jaskrawości żywego przykładu, zwłaszcza — obcego.

Jak tę sprawę oceniać ma polska myśl narodowa? Odwieczny wróg nasz — Niemcy, przygotowują się obecnie do nowego na Polskę najazdu. Im zdrowszy i silniejszy jest nasz wróg, tem dla nas groźniejszy. Wiemy nadto, że jednym z bezpośrednich wyników odżydzania naszego sąsiedztwa, jest wzmożony napływ żydów do Polski i gwałtowne ich w tym kraju umacnianie licznych swoich stanów posiadania. Żadne jednak względy uboczne nie mogą w oczach nacjonalizmu polskiego umniejszyć słuszności narodu, który zrzuca ze siebie kłody wstrętnej niewoli. Z tą samą słusznością Polacy walczyli i będą walczyć przeciwko Niemcom i przeciw żydom i przeciw każdemu, kto na wolność i całość narodu polskiego nastaje.

Niezależnie od tak humanitarnego stanowiska, z zaciekawieniem i korzyścią powinni Polacy śledzić przebieg powstania niemieckiego, można tu bowiem znaleść niejedną naukę doświadczalną, która następnie w odżydzaniu kraju naszego tech-

nicznie sprawę nam ułatwi. Zwrócę tu narazie uwagę na dwie takie „lekcje” życiowe, a stawiam je łącznie dlatego, że i w rzeczywistości wystąpiły one razem, jako objaw i objawu tego warunek.

Dzieło odżydzania swojego życia narodowego Niemcy Hitlera rozpoczęły od usuwania żydów z kultury duchowej. Usunięto przedewszystkiem profesorów wszelkich szkół, uczonych, literatów, dziennikarzów, lekarzów, adwokatów, sędziów, wszelkiego rodzaju artystów i przedsiębiorców sztuki, wydawców, księgarzów i tym podobnych zawodowców narodowości żydowskiej. Jednocześnie poprowadzono ostą propagandę przeciw małżeństwom mieszanym i łączeniu się krwią z żydostwem. Żydzi na całym świecie uznali to za słabość niemiecką, jakoże niby warstwę zawodów wolnych najłatwiej było bez ryzyka wstrząsów w kraju precz wyrzucić. Wbrew jednakże fałszywej opinji żydowskiej rozpoczęcie dzieła od czystości rasowej i kulturalnej świadczy o świadomej lub bezwiednej mądrości sztabu hitlerowskiego. Naprzód należało ducha narodu z pod żydowskiej hypnozy uwolnić, bez tego bowiem nie dałoby się wyzwolić woli narodu, a bez udziału woli cała sprawa ani by z miejsca ruszyć nie mogła. Ta kolejność przeto w usuwaniu żydostwa, gdy nadejdzie czas wyroczny, nie jest przypadkiem, ani kierunkiem najsłabszego oporu, ale warunkiem wydobycia woli zbiorowej.

A druga, stąd idąca, lekcja życiowa — to wola. Niechaj nauczą się ci, którzy uważają siebie za warstwę w narodzie polskim kierowniczą: na nic wszelka mądrość. wiedza, doświadczenie! Na nic wszelka wyobraźnia, wszelkie uczucie — miłości i nienawiści, jeżeli wola nie działa! Co wniósł Hitler do współczesnej społeczności niemieckiej? Wniósł tylko wolę. Upartą wolą własną w narodzie wolę obudził i wyzwolił, a wtedy wszystkie siły ducha dokoła niej się skupiły.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

BANKRUCTWO USTROJU SZKOLNEGO W POLSCE

I

STARA Konstytucja polska z 17 marca 1921 r. zawierała w art. 119 pozytywny nakaz: „Nauka w szkołach państwowych i samorządowych jest bezpłatna. Państwo zapewni uczniom, wyjątkowo zdolnym a niezamożnym, stypendja na utrzymanie w zakładach średnich i wyższych”.

Konstytucja nowa z 23 kwietnia 1935 r. artykuł ten zniosła. Państwo i samorząd uzyskały pełną swobodę w nakładaniu opłat na dzieci, uczęszczające do ich szkół wszelkich stopni i typów.

Pozostał natomiast i w nowej Konstytucji art. 118 starej Konstytucji, który brzmi:

„W zakresie szkoły powszechnej nauka jest obowiązkową dla wszystkich obywateli państwa”.

Obywatel musi zatem dziecko posyłać do szkoły i musi zań, gdy mu każą, płacić.

Taki jest sens pozostawienia art. 118, a zniesienia art. 119 starej Konstytucji.

Trzeba lojalnie stwierdzić, iż art. 119 starej Konstytucji był naogół ściśle stosowany tylko w zakresie szkolnictwa powszechnego, gdzie obowiązywał przymus szkolny. Wszędzie tam, gdzie uczęszczanie do szkoły miało charakter dobrowolny, były — wbrew art. 119 — opłaty. Opłaty te nakładano pod rozmaitemi pozorami i na różne cele i w szkołach wyższych i w szkołach średnich i w szkołach zawodowych. Dawniejszemi laty były one naogół umiarkowane. Brano je przeważnie tylko od bogatszych. Uboższych łatwo od nich zwalniano, a nawet zapewniano im znaczną stosunkowo pomoc. Przypominam ustawę o stypendjach akademickich, uchwaloną z inicjatywy ś. p. Zofji Sokolnickiej, znaczne sumy w budżecie na pomoce szkolne, na bursy i na stypendja w szkołach wyższych, średnich i powszechnych. Dopiero za ery braci Jędrzejewiczów, już w okresie szalejącego kryzysu, zreformowano wszystkie opłaty, podnosząc je często dwu i trzy-krotnie i ograniczając bardzo radykalnie zniżki i zwolnienia. Opłaty te dają rządowi rocznie około 30 milj. zł.

Prócz opłat, nakazanych ministerjalnem rozporządzeniem, wyrosły wszędzie opłaty lokalne. Trzeba zapłacić — i to zaczynając już w szkole powszechnej — wpisowe na wycieczki, na gimnastykę, na roboty ręczne, na L. O. P. P., na Czerwony Krzyż, na budowę szkół powszechnych, na Komitet rodzicielski. W gimnazjum obowiązuje mundur, wychowanie fizyczne, teatr szkolny, odpowiednio zwiększona ilość wycieczek, książek, lektur, przyborów szkolnych. Opłaty mają charakter na pół przymusowy, na pół dobrowolny. Płacą je wszyscy.

Taksy administracyjne i opłaty „dobrowolne” czynią już dziś szkoły średnie, zawodowe i wyższe coraz niedostępniejszemi dla dzieci wsi i dla dzieci uboższych rodziców z miast i miasteczek nawet w tym wypadku, gdy rodzice mieszkają w siedzibie tych szkół.

Stosunki te pogorszą się po zmianie Konstytucji bardzo znacznie.

II

Jakiż jest obecnie stan szkolnictwa w Polsce?

Ograniczę się do dziedziny organizacyjnej i finansowej.

Sięgnijmy do źródeł, głównie urzędowych: do Roczników Statystycznych, do preliminarzy budżetowych państwa i samorządu, do Uwag Najwyższej Izby Kontroli i wreszcie do dość licznej literatury fachowej.

„Mały Rocznik Statystyczny“ na r. 1935 podaje, iż w roku szkolnym 1933/34 było w Polsce 27.270 szkół powszechnych; zapisanych do szkoły dzieci było 4,624.000. W innem miejscu notuje, iż dzieci w wieku szkolnym było w tym roku 4,945.000, a więc dzieci niezapisanych do szkoły było tylko 320.000. Przeciętnie 92,2% dzieci, podlegających obowiązkowi szkolnemu, było zapisanych do szko-

ły. Województwa zachodnie posyłały do szkół 99% dzieci, województwa wschodnie tylko 77%. Tak głosi statystyka oficjalna.

Nieurzędowo mówiło się rok temu o 700.000 dzieci, a obecnie o miljonie dzieci, często formalnie zapisanych, ale mimo to nieuczęszczających do szkoły. Taką podwójną buchalterję ułatwiają okólniki ministerjalne, które od szeregu już lat nie egzekwują — przymusu szkolnego. Do paru lat ta tolerancja zdemoralizuje całe szkolnictwo na wsi.

Dyrektor Departamentu szkolnictwa ogólnokształcącego w Ministerstwie W. R. i O. P. p. Al. Kawałkowski ogłosił w „Gazecie Polskiej“ (nr. 256 z 15 września b. r. p. t. „O miejsce w hierarchji potrzeb“) szereg cyfr, potwierdzających te prywatne obliczenia. P. Kawałkowski podaje, iż w r. 1929/30 było dzieci w szkołach powszechnych 3,8 miljonów, w roku bieżącym jest ich 4,7 miljonów, a więc o 900.000 więcej. Dzieci, obowiązanych do uczęszczania do szkoły, było w r. 1929/30 4,1 miljonów, w roku bieżącym jest ich 5,5 miljonów. O 1,4 miljonów więcej. W r. 1929/30 zabrakło miejsc w szkołach dla 300.000 dzieci, w r. 1934/35 dla 650.000 dzieci. Ale w ciągu roku szkolnego — pisze p. Kawałkowski — „liczba uczniów w szkołach powszechnych zmalała jeszcze bardziej, podnosząc liczbę dzieci pozaszkolnych do miljona“. Potwierdza więc p. Kawałkowski, mający z urzędu dostęp do wszystkich źródeł, iż już w r. 1934/35 nie uczyło się alfabetu miljon dzieci. Rozpoczęty nowy rok szkolny powiększy tę liczbę o dalsze paręset tysięcy dzieci.

W r. 1929/30 dzieci, zapisane do szkoły, stanowiły 92,2% obowiązanych, w r. 1934/35 zrazu 88%, przy końcu roku 81,5%, W r. 1935/36 procent ten spadnie poniżej 80%. Za rok, dwa, zejdziemy do 70% i niżej.

Liczba dzieci, obowiązanych do uczęszczania do szkoły powszechnej i rzeczywiście do szkoły uczęszczających, waha się. Dzieci, podlegających obowiązkowi szkolnemu było: w r. 1921/22 — 5,075.000, w r. 1928/29 — 3,638.000 (spadek roczników t. zw. wojennych), w r. 1935/36 — jest ich 5,903.000, a w r. 1939/40 ma ich być 6,071.000. Ostatnie dwie cyfry, to cyfry szacunkowe, ale zbliżone do rzeczywistych. W r. 1922/23 zapisanych było do szkoły 3,345.309, w r. 1928/29 — 3,575.557, w r. 1934/35 — 4,700.000. Stanowi to w stosunku do zobowiązanych: 64%, 92,2% i 81,5%.

W ciągu paru lat ostatnich gimnazja oddały swoje dwie najniższe klasy szkole powszechnej. Obowiązek to dla szkoły powszechnej nowy, a poważny.

III

W ciągu całego ostatniego dziesiątka lat, mimo olbrzymich zmian w liczbie dzieci, uczęszczających do szkoły, nie zmieniła się prawie liczba nauczycieli. Było ich: w r. 1922/23 — 57.627, w r. 1927/28 — 65.264, w r. 1928/29 — 67.819, w r. 1930/31 — 67.761, w budżecie na r. 1935/36 jest ich 66.313.

Nauczycieli jest zamało. Skutek jest ten, że wszędzie klasy są przepełnione, że nawet w szkołach w stolicy niema miejsca dla wszystkich zapisanych dzieci, że na wsi przypada często na jednego nauczyciela ponad 100 dzieci. W rezultacie ów miljon dzieci tuła się poza szkołą, a wynik nauki uczęszczających do szkoły jest ogólnie mały, często wręcz niedostateczny. Dodać do tego trzeba, iż z 2.897 szkół sześcio- i siedmio-klasowych na wsie przypada zaledwie 400.

Zna ten stan i p. dyr. Kawałkowski. Wie, że powinno być inaczej.

Licząc 43 dzieci na jednego nauczyciela, powinna mieć Polska około 137.000 nauczycieli. Licząc 60 dzieci na jednego nauczyciela, powinna mieć Polska około 90.100 nauczycieli. W Anglji jest 1 nauczyciel na 35 dzieci, w Szwecji na 25 dzieci, w Danji na 30 dzieci, w Belgji na 26 dzieci, w Bawarji na 32 dzieci, w Bułgarji na 31 dzieci, w Finlandji na 30 dzieci. Brak więc Polsce według normy „60 dzieci = 1 nauczyciel“ — 24.000 nauczycieli, a według normy „43 dzieci = 1 nauczyciel“ — około 70.000 nauczycieli. Koszty tego nowego zaciągu obliczyć łatwo, licząc początkową pensję roczną nauczyciela na 2.500 zł. Da to w pierwszym wypadku 60 milj. zł. rocznie, w drugim wypadku 175 milj. zł. rocznie więcej nad to, co dotąd płaci państwo na pobory nauczycieli szkół powszechnych. A pobory — to nie wszystko.

IV

Fatalnie wygląda sprawa budynków szkolnych.

W r. 1924 miała Małopolska 63%, dzielnica zachodnia 80%, województwa centralne i wschodnie 3% własnych, a potrzebnych budynków szkolnych. Na 79.700 zorganizowanych wówczas oddziałów (klas) szkolnych — pomijając wszystkie inne potrzeby szkół — mieliśmy w r. 1925 razem w całej Polsce 25.872 własnych sal szkolnych i około 32.000 sal wynajętych o wartości bardzo rozmaitej. Mieliśmy wówczas jakieś 3,3 miljonów dzieci w szkołach.

W ciągu 10 lat wybudowano kilkaset budynków szkolnych, posiadających 6 — 7.000 sal. W tym czasie przybyło do szkół miljon dzieci szkolnych, a powinno było przybyć dwa miljony. Skutek jasny: Brak budynków szkolnych jest dziś większy i dotkliwszy, niż był 10 lat temu. Od 4 lat nie budujemy nic. Z budżetu państwowego zniknęły od lat 5 wszelkie sumy na budowę szkół. Samorządy są w jeszcze gorszem, niż rząd, położeniu finansowem.

Na zaspokojenie szkolnego głodu mieszkaniowego potrzebuje budżet szkolny sum prawie astronomicznych. Po rok 1939/40 trzebaby zbudować 90 — 133.000 sal szkolnych i 47 — 77.000 mieszkań nauczycielskich. Koszty budowy wyniosłyby przy normalnym planie („43 dzieci = 1 nauczyciel") 4,855 miljonów zł., przy planie oszczędnościowym („60 dzieci = 1 nauczyciel") 2,920 milj. zł. (*vide* rozprawy twórców planów szkolnych pp. Wład. Radwana, Marjana Falskiego i Stan. Machowskiego).

W r. 1930 Stanisław Machowski, członek Państwowej Rady Wychowania i jeden z kierowników Związku Zawodowego Nauczycieli Szkół Powszechnych, opracował plan zebrania owych miljardów zł. Budowę rozłożył na 3 okresy. Co roku do „Funduszu Budowy" wpływaćby miało z nowych podatków 174 — 183 milj. zł. Plan oczywiście fantastyczny.

Jak dalekie od rzeczywistości są te plany, świadczy fakt, iż w latach 1922 — 1929 wydał rząd na budowę szkół powszechnych 36,949.419 zł.!

Sprawa cała stanęła na martwym punkcie. Miljon dzieci już dziś nie uczęszcza do szkoły powszechnej, mimo zachowania art. 118 w starej i w nowej Konstytucji, nie dlatego, że uczęszczać nie chce lub że rodzice nie rozumieją dobrodziejstwa oświaty. Są oczywiście i tacy, ale na takich jest przymus szkolny. Dla miljona dzieci niema miejsca w salach szkolnych, niema dla nich i nauczycieli. I niema nadziei, aby w czasie bliskim stan ten mógł ulec radykalniejszej poprawie.

(D. c. n.) STANISŁAW RYMAR

„ZWIĄZEK GRABARZY" PRZY ROBOCIE

Znany powszechnie z odważnych badań historyk, K. M. Morawski zezwolił nam łaskawie przed wydaniem swojej książki (Poznań, księg. Św. Wojciecha) ogłosić jeden z końcowych jej rozdziałów. Książka nosi tytuł: „Źródło rozbioru Polski".

I

CZUJĘ się w sumieniu swojem autorskiem obowiązany do wyłuszczenia, co, zdaniem mojem, pozostaje do zrobienia, chociażby w zakresie chronologicznym, jaki sobie zakreśliłem, aby wyświetlić rolę tego „związku grabarzy" polskiej niepodległości, jak trafnie określił rolę masonerji znakomity autor.

Dużo, istotnie bardzo dużo. Jeżeli udało nam się rzucić nieco światła na genezę jej u nas saską, to im dalej w gąszcz matactw rozbiorowych, temci ciemniej. Nie znamy statutów „Trzech braci", warszawskiego „Dobrego Pasterza" czy lóż mniszchowskich, jak wcześniej poznaliśmy statuty „Wrogów wstrzemięźliwości". Żadna pieczęć nie zdradza nam manewrów Imć Pana Andrzeja Mokronowskiego, a nad archiwum jego zaciężyło nawet jakoweś *fatum:* nie wetują jego straty nędzne ułamki u „Krasińskich", podczas gdy zaginęło *gros* jego, będące pono do wojny w rękach ś. p. Adrjana Chełmickiego[1]) i nie ostał się dla potomności pamiętnik, cytowany przez Dorowa. Słowem, pan Andrzej, praojciec masonerji polskiej, jak był sfinksem za życia, tak i po śmierci zapaść się potrafił w piasek niepamięci.

Jeżeliśmy zatem z konieczności dotknęli się tylko bohatera „Sekretu", to powierzchowniej jeszcze potraktowaliśmy druha jego Mniszcha, do którego tak pięknie pisał wojewoda mazowiecki w r. 1760:

„Waćpana rozkazy zawsze będą regułą życia mego" („Kochajmy się jak bracia..." [2]).

Wypadnie więc pod tego rodzaju kątem widzenia przewertować raz jeszcze słynne teki mniszchowskie, czego zapewne nie uczynili Szujski ani Konopczyński i skonfrontować rezultat z Dreznem przynajmniej i Paryżem. Wtedy może więcej padnie światła na „kabałę dukielską": na panią Amelję z Brühlów, co była córką obermasona i siostrą czterech innych masonów; na jej „sigisbeja", „brata" Wielhorskiego, na cały ten światek lożowy, od kuzynów: Lubomirskich, Ogińskich i Potockich (czyżby Eustachy, *Stammvater* w takim razie bujnej filjacji masońskiej?) aż do szarlatanów w guście Toux de Salverte. Gdy się to stanie, zrozumiemy dopiero „pana krakowskiego", którego naświetliliśmy w książce jednem tylko mignięciem, na tle jego rezydencji kasztelańskiej, co była też właściwą centralą loży jego pałacowej w Dukli [3]) — w wysoce coprawda kompromitującem towarzystwie „bolszewika" Mably'ego.

Chciałbym też, by znawcy źródeł rosyjskich powiedzieli nam, w związku z badaniami Pypina czy Wasilczykowa lub dziennikiem Corberona, coś więcej o roli tych możnych prekursorów czy promotorów rozbioru — Rosjan, działających na gruncie polskim, „braci" Rozumowskich i Repninów, tych konfidentów ambasady rosyjskiej w guście „braci" Auberta czy Aloego i t. d., i t. d.

II

Na bliższe również badanie zasługuje ekipa saska, owa ekipa, o której mówi Rulhière, wykształcona przez Brühla a przywykła do „podziemnych intryg", jak współcześnie Pârisowie we Francji opanowywali „przystępy podziemne".

I znowu kogo tam niema? Jest tedy wśród nich „brat" Wodzicki, kreatura pierwszego ministra, a wysoki zarazem dostojnik kościelny; jest pułkownik Aloe (d'Aloy), Piemontczyk, zidentyfikowany dopiero niedawno w „Słowniku biograficznym", a taki czynny „przy boku „brata" Podoskiego w feralnej „*journée des dupes*" w Radomiu roku 1767 i taki łajdak (dziedziczny zresztą), że nawet szef jego i socjusz zapewne, Mniszech, który go „nazwał raz w garderobie królewskiej „*un fripon*"..., dostrzegłszy, że ów stoi niedaleko, dodał: „Mówiłem głośno, abyś Waćpan słyszał" [4]).

U niego to, w pałacu Saskim, pod bokiem druha Podoskiego i jego „Emkini" (pani Oehmichen), a w otoczeniu pięknych panien d'Aloe, wzrastał filar przyszłej masonerji stanisławowskiej, Karol-Armand Heyking, z czasem powinowaty Potockich, przyszły konfederat barski, adept berlińskiego Mendelssohna, emisarjusz na konwenty przedrewolucyjne, judofil, junkier i jakobin w jednej osobie.

I znowu po tych Heykingach i tych d'Aloych porosła trawa: wydawca pamiętników Heykingowskich wykreślił z nich poprostu wszystko, co tyczyło się masonerji [5]), a po Aloych: starym pułkowniku, niegodziwym jego synalku i uroczej córce, pozostały papiery w archiwum wilanowskiem [6]), ale, jak ono całe, zakryte, niczem tajemniczy obraz z Sais, co pomścił się na zuchwałym śmiałku.

---

[1]) Informacja ordynata hr. Edwarda Krasińskiego; por. „Kwartalnik historyczny" (Konopczyńskiego: „Przegląd źródeł" do konfederacji barskiej).

[2]) Konopczyński: „Polska w dobie wojny siedmioletniej, II, 8.

[3]) „*Allgemeines Handbuch der Freimaurerei*". Wyd. II, t. II, (dane o lożach polskich).

[4]) Konopczyński, l. c., str. 9.

[5]) Heyking: „*Aus Polens und Kurlands letzten Tagen*", przedmowa.

[6]) Informacja hr. Róży z Potockich Raczyńskiej.

III

Inaczej z Podoskim. Tuby może źródeł nie zabrakło, od początków jego chudych (*vide* w Dreźnie!), poprzez kwarantannę przy wygnanych dynastach saskich, do osłupiającego wyniesienia na tron prymasowski i towarzyszących mu matactw, do dramatyczno-sromotnej ucieczki z Warszawy barskiej i do wstydliwej agonji w Gdańsku i Marsylji (Skandaliczne dane o Podoskim skupione są zwłaszcza w fikcyjnej rozmowie prymasa z historycznym zresztą kapucynem Przedwojewskim[7]).

A czy ten prymas-mecenas trójkąta, ten najgorszy następca niewiele już wartych Lipskich, Teodorów Potockich i Radziejowskich, był jedynym z „braci"—infułatów? Chyba nie, skoro o tyle od niego lepszy patrjota, inny biskup, ksiądz Adam Krasiński, pisze „z bezpieczności", anonimowo (a jednak list ten zawędrował do papierów Mokronowskiego):

„Ks. Marcin (Lubomirski), gdy tu się mieścić dłużej nie mógł, poszedł w głębokość kraju niszczyć, ciemiężyć, bałamucić, wraz spojony sercem z wojewodą mazowieckim. Pułaskim i maślaną infułą, jest to sekta farmazonji warszawskiej"[8]).

Zestawia tu więc biskup kamieniecki na jednej linji obok takiego warchoła — „szabesgoja", jak książę Marcin, obok takiego świadomego czy nieświadomego prowokatora. jak wojewoda Mostowski[9]), także „infułę maślaną", t. j. biskupa wileńskiego Massalskiego.

Ale *distinguendum!* Jeżeli Gniezno i Wilno odprzysięgły się w tym czasie Chrystusa, to Kraków (Sołtyk), Kamieniec (Krasiński) i nawet Heilsberg (Krasicki), stały twardo przy poświęconych sztandarach: Sołtyk np. gromił dyssydentów listem na sejmiki, datowanym tegożsamego dnia, kiedy w Warszawie, za gorliwem poparciem tychże dyssydentów, fundowała się pierwsza loża stanisławowska. Będą jeszcze Ghigiottowie i Piattolowie pętać się po lożach w późniejszym okresie tego panowania, ale ani Michał Poniatowski, ani nikt inny z episkopatu, nie pójdzie śladami przyjaciela pani Oehmichen.

IV

Co za problem dla młodego historyka wyświetlić związek między dyssydentami a masonerją, między tym zborem np. na Królewskiej, który był — zarazem — i lożą królewską, między tem „kollegjum misterjów milicji ewangielickiej" a tymi emisarjuszami-dyssydentami, których spotykamy na naczelnych stanowiskach w lożach, tymi Heykingami czy Kortumami.

A niemniej ważne jak łączność gotującej się do skoku na Polskę masonerji z akcją dyssydencką, będącą,—jak pięknie powiedział Askenazy — „gwoździem do trumny Rzeczypospolitej"[10]), musi być zagadnienie wczesnej już, tak wczesnej jej łączności z żydostwem: od Lehmanów i Wertheimerów, od St.-Germainów i Cagliostrów do swojskich „braci" Delbenych; od wpływowych politycznie faktorów Stanisława Augusta[11]) do filjacyj hamburskich lóż warszawskich[12]), do Radziwiłłów, co przechodzą na judaizm i Lubomirskich, co kojarzą się z żydówkami[13]).

V

Ileż zagadnień nierozjaśnionych! Czyż stoi nam otworem archiwum któregokolwiek z „wielkich mistrzów" „Wielkiej Loży" czy „Wielkiego Wschodu" polskiego; czyż wiemy co o korespondencji Moszyńskiego (poza cudem uratowanemi fragmencikami w zbiorach Stanisława Augusta)? Czy znamy spuściznę po Hylzenie i Mokronowskim; czy dostępne nam są papiery Ignacego i Szczęsnego Potockich, niegdyś częściowo zrewidowane przez Kalinkę?

Młodym badaczem dwudziestoletnim stałem przed zagadkami wolnomularskiemi zbioru Potockich, niby przed „malowanemi wrotami": coś niecoś sobie z tego wynotowałem lub zapamiętałem, jak np. szczegół o zjeździe Ignacego Potockiego w Monachjum z niebezpiecznymi „iluminatami" Dalbergiem i Morawitzky'm, z tymże Dalbergiem, po którym także zaginęła rękopiśmienna spuścizna[14]), tym od Rotszyldów i od upadku Napoleona[15]).

Póki nie zostanie otwarte archiwum Potockich — a dlaczego właśnie w tej chwili jest ono zamknięte, nikt wyrozumieć nie zdoła, bo któż widział karać wszystkich sprawiedliwych historyków polskich za jednego „niesprawiedliwego"— każdy badacz Sejmu Czteroletniego i przymierza polsko-pruskiego zdany będzie (poza fragmentami jakiemiś w archiwach krajowych, jak np. u „Baworowskich"), na poruszanie się w ciemnościach, a komu ten „Ciemnogród" historyczny wychodzi na dobre, jeśli nie po dawnemu Berlinowi? Tyle przynajmniej, że papiery „panów Ignacego i Stanisława", o ile nam wiadomo, nie podzieliły dotąd losu spuścizny po Mokronowskich i Dalbergach.

Albowiem dopiero, gdy spadną pieczęcie z owych zazdrośnie strzeżonych skarbów, gdy roztworzą się archiwalne Sezamy, gdy się okaże, że nikt nie sprzątnął najważniejszych dyplomatarjuszy Sejmu Czteroletniego, jak niegdyś, bodaj z archiwum „brata" Zajączka, ulotniły się najważniejsze dokumenty lóż stanisławowskich[17]), tak długo przekonanie, że masoni stanisławowscy kontynuowali przygwożdżoną przezemnie, „zbożną" robotę Augusta Mocnego, pozostanie prostym aktem wiary, mocno coprawda złączonym z aktem nadziei, że... otworzy się Sezam „pod Jagnięciem".

O ten wyłom nie ja wołam, prosty ciura Klijony, ale woła dobrze zrozumiany interes katolicyzmu w walce z Antychrystem i dobrze zrozumiany interes Polski. Nie umarł wszakże jeszcze stary Grebner[16]) i August Mocny straszy po dawnemu w krypcie wawelskiej, a „brat" Fryderyk ocknął się w Poczdamie.

Ale na Zachodzie bojownicy Krzyża, jak np.

---

7) Rkps. arch. X. X. Czartoryskich.

8) Konopczyński: „Konfederacja barska. Wybór tekstów".

9) Forst-Bataglia: „*Eine unbekannte Kandidatur auf den polnischen Thorn*", *passim*; por. Konopczyński: „Tajemnica Trembeckiego („list Sobieskiego do Kościuszki").

10) Łubieńska: „Sprawa dyssydencka" (przedmowa).

11) Por. np. „Encyklopedia Judaica", *sub voce*,

12) „*Allgemeines Handbuch der Freimaurerei*" (dane o lożach polskich),

13) Patrz: Bartoszewicz K.: „Radziwiłłowie" i Mejbaum: „O tron Stanisława Augusta",

14) Patrz Beaulieu - Manonnaaey: „Karl von Dalberg", przedmowa.

15) Patrz mój szkic: „O upadku Napoleona" („Gazeta Warszawska").

16) Informacja p. Soubise-Bisiera.

17) Aluzja do mistyka niemieckiego z XVI w. zalecającego już wtedy rozbiór Polski (patrz w książce).

padły w boju znakomity Cochin (czy nawet uczciwi protestanci, jak świetna Nesta Webster) zasiedli już przy warsztatach historycznych i nastawili reflektory na „przystępy podziemne". Czy w tej karkołomnej „Samosierze" zbraknąćby miało partyzantów polskich? Czy nikt nie przyjdzie pomóc zedrzeć z murów Częstochowy skrwawionego sztandaru Karola-Gustawa? [18])

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

[18]) Aluzja do „wtajemniczenia" wolnomularskiego rzeczonego króla (patrz tamże).

OKULTYZM i MASONERJA

W „MOICH WSPÓŁCZESNYCH" PRZYBYSZEWSKIEGO

W KSIĄŻCE PRZYBYSZEWSKIEGO, poświęconej wspomnieniom z jego życia, wzmianki, dotyczące okultyzmu i masonerji przeplatają się z sobą, masonerja i okultyzm traktowane są równorzędnie, z tem samem gorącem zainteresowaniem, z tą samą sympatją, jaką je autor obdarza.

Okultyzm i okultystyczne symbole pociągały artystyczną fantazję Przybyszewskiego bardzo mocno. Dowiadujemy się z „Moich Współczesnych", że 15 lat swego życia strawił Przybyszewski na badaniu takich gałęzi okultystycznej wiedzy, jak spirytyzm, medjumizm i hypnotyzm, że przez 25 lat badał kwestję czarów oraz czarownic. To zainteresowanie Przybyszewskiego masonerją i okultyzmem nie miało wyłącznie tylko poznawczego charakteru. Świadczy o tem zarówno jego kult dla Kabały żydowskiej, którą nazywa w swej książce „boską siostrą Gnozy", „księgą niewypowiedzianych boskich tajemnic pełną", „księgą ksiąg najtajniejszych objawień", jak i jego pogląd na rolę dziejową Templarjuszów, od których, według jednej z 12 teoryj o pochodzeniu masonerji, zawartych w „*Royal Masonic Cyclopedia*", wywodzi masonerja swe pochodzenie, świadczą wreszcie owe wykrzykniki, w których daje wyraz w książce swoim uczuciom, owa „rozpacz, która go zbiera" na myśl, że dzisiejsi masoni „nie rozumieją najprymitywniejszych symboli, nie wiedzą, co oznacza młotek lub kielnia".

Te ostatnie słowa Przybyszewskiego świadczą zarówno o tem, że znajdował się on z braćmi po kielni w bliższym kontakcie, skoro poznać mógł tak dobrze i ich zapatrywania, i stopień ich okultystycznej wiedzy, jak i o tem, że widział w masońskiej symbolice ukryte głębokie prawdy, jeśli przyprawiała go o rozpacz myśl o zatraceniu tej wiedzy.

Według Przybyszewskiego Kościół zagubił klucz od najgłębszych tajemnic nauki Chrystusa. Jest to pogląd szerzony przez niektóre t. zw. chrześcijańskie odłamy masonerji, według której również tajemnice chrześcijańskiej wiedzy posiadło wolnomularstwo.

Przybyszewski, jak widzieliśmy wyżej, nie żywi bardzo wysokiego mniemania o wiedzy dzisiejszych masonów, natomiast, biorąc asumpt z pewnych szczegółów symboliki masońskiej, które znaleźć można w gotyckich tumach, i z niektórych zasad architektoniki gotyckiej, zahaczających o tę symbolikę, twierdzi, że to w tym celu, aby przekazać potomności ezoteryczną chrześcijańską wiedzę, „wtajemniczony mag-budowniczy" zamykał w kamiennych gryfach i chimerach „niesłychane rewelacje astralnego świata" i „najtajniejsze hieroglify ukrytej wiedzy". Chrześcijańska ezoteryczna wiedza zaklęta została jakoby w kamień w gotyckich tumach.

Błąd, jaki popełnia tutaj Przybyszewski, polega na tem, że to nie z ezoterycznej nauki chrześcijańskiej, która nie istniała i nie istnieje, ale z Kabały żydowskiej i z okultyzmu żydowskiego zaczerpnięta została ta okultystyczna symbolika, której ślady przedostały się do gotyckich świątyń. Na budownictwo gotyckie mieli wielki wpływ Templarjusze, budując wiele i posiadając dzięki temu stosunki z gildjami mularskiemi. Templarjusze zetknęli się w Jerozolimie z okultyzmem żydowskim. Według pisarza masońskiego, Ragona, wtajemniczeni byli w misterja Kabały, z której, jak wiadomo, czerpie dziś swoją okultystyczną wiedzę masonerja.

Fakty te wyjaśniają nam zarówno istnienie, podawanej przez masońską encyklopedję a powtarzanej wielokrotnie, teorji o pochodzeniu masonerji od Templarjuszów, jak i wyświetlają drogi, któremi przedostały się do naszych gotyckich świątyń szczegóły, zahaczające o okultystyczną symbolikę.

W podobny sposób dzisiejszy artysta, należący do masonerji, umieszcza jakiś niedostrzegalny dla profana szczegół w rysunku np. godła państwowego, które pomimo to nie przestaje być godłem państwa, tak jak kościół gotycki, pomimo szczegółów, zaczerpniętych z okultystycznej wiedzy czy symboliki, nie przestaje być stworzonym przez chrześcijańskiego ducha kościołem.

Tyle jest prawdy w pozornych rewelacjach Przybyszewskiego o okultystycznej wiedzy chrześcijańskiej, zachowanej w gotyckich tumach.

Błąd, popełniany przez Przybyszewskiego przy rozwijaniu tej teorji, jest tak charakterystyczny dla stosowanych przez masonerję metod, że należy go zaznaczyć i warto go sobie uświadomić: jeden szczegół prawdziwy (o napotykanych w gotyckich tumach śladach okultystycznej symboliki) użyty zostaje dla potwierdzenia teorji błędnej (o istnieniu ezoterycznej wiedzy chrześcijańskiej) i nadania jej pozorów prawdy.

Równie charakterystyczne dla poznania metod masońskiej wiedzy jest to, co pisze Przybyszewski o Templarjuszach. Znaczenie czczonego przez Templarjuszów posągu, znanego pod nazwą Baphometa, interpretowane bywa rozmaicie. Jak się zdaje, mamy tu do czynienia nie tyle ze zwykłą, naturalną, żeby tak rzec, różnicą w poglądach uczonych na jakąś kwestję, ile właśnie z tem przystosowywaniem teorji do poglądów poszczególnych lóż, o którem pisałam w moim artykule o masonerji, drukowanym niedawno w „Myśli Narodowej" p. t. „Pugillatori". Teorja bowiem o Baphomecie, którą podaje Przybyszewski, mający nie-

wątpliwie kontakt z lożami aryjskiemi, hołdującemi zatem zasadom międzynarodowego braterstwa, jest właśnie teorją, która odpowiadać musi zwolennikom demokratycznych haseł XIX wieku. Eliphas Levi, pisarz, będący żydem z pochodzenia, do którego psychiki zatem silniej od zasad międzynarodowego braterstwa przemawiać musiały zasady supremacji narodu żydowskiego, interpretując znaczenie Baphometa, odnajduje je w księdze świętej ludu wybranego, w Kabale. Autorzy, którzy zajmowali się badaniem sekt w Islamie, nadają Baphometowi znaczenie, które pociągać musi muzułanów, wśród których masonerja posiada wielkie wpływy. I wreszcie Przybyszewski, w innem miejscu swej książki, podaje drugą teorję o Baphomecie, stworzoną najwidoczniej na użytek lóż o skrajnem, radykalnem zabarwieniu.

Eliphas Levi powiada, że Baphomet jest to „Długa Twarz“ albo „Najstarszy ze Starych“, którem to mianem Kabała żydowska oznaczała Jehowę. Teorja, której źródłem jest wiedza Islamu, powiada, że Baphomet to zniekształcone imię Mahometa. Według pierwszej teorji Przybyszewskiego Baphomet nie jest to właściwie posąg, darzony tem imieniem, ale hasło, które czytane wstecz, według kabalistycznej metody „notarikon“, brzmi T e m o h p a b i składa się z początkowych liter zdania, reasumującego rzekomo wytyczne i cele zakonu: *„Templum omnium humanum pacis abbas“* — „Świątynia pokoju wszystkich ludzi“.

W innem miejscu swej książki powiada Przybyszewski, że w naszych czasach powstał z popiołów spalony ostatni komtur Templarjuszów, Jacques de Molay, „jako groźny mściciel, istotny już teraz Baphomet, Antychryst“. Baphomet nie jest tu zatem symbolem powszechnego braterstwa, ale przeciwnie, mścicielem za winy Kościoła, który potępił Templarjuszów, jakiemś uosobieniem dzisiejszego, wolnomyślicielskiego czy bolszewickiego bojownika. Jest rzeczą interesującą, że tego właśnie Baphometa nazywa Przybyszewski Baphometem i s t o t n y m.

Templarjusze, których potępienie przez Kościół uważa autor „Moich Współczesnych“ za zbrodnię, mieli według niego za zadanie i cel: „stworzenie na ziemi Królestwa Pokoju i zjednoczenie wszystkich narodów“ (łącząc zatem teorję o Baphomecie z teorją o celach i zadaniach Zakonu Templarjuszów, znowu, jak przy tem, co mówił o ezoterycznej chrześcijańskiej wiedzy, przenosi Przybyszewski pewne prawdy z c z ę ś c i n a c a ł o ś ć). Wiemy jednak, że nie za chęć stworzenia Królestwa Pokoju dla wszystkich ludzi potępił Kościół Templarjuszów. Potępił ich za dualizm, będący równouprawnieniem pierwiastku zła z pierwiastkiem dobra i za zaprzeczanie bóstwu Chrystusa. Były to poglądy, które wyznawały w owym czasie setki ludzi nie należących do Kościoła, i wyznawały je bezkarnie. Kościół skazał Zakon na rozwiązanie i kilkudziesięciu jego członków poniosło śmierć za to, że wyznając te zasady sprzeczne z nauką chrześcijańską, udawali kłamliwie wyznawców tej nauki i wiernych członków Kościoła. Dodać jeszcze należy, że jeśliby winą Templarjuszów było to tylko, że głosili braterstwo wszystkich narodów, nie mógłby ich za to potępić Kościół, który stanowił, jedyny w owym czasie, czynnik, łączący i bratający narody świata.

Skąd jednak ta nazwa Baphometa, która, czytana wstecz, nie da się zaprzeczyć, że odpowiada pierwszym sylabom hasła *„Templum omnium humanum pacis abbas“?* Innemi słowy — co jest prawdziwe i słuszne w teorji Przybyszewskiego?

Z rewelacyj Przybyszewskiego o znaczeniu słowa Baphomet należy wnosić, że już za czasów Templarjuszów, a zatem w wieku XIV, istniało przeciwstawianie zasadom powszechnego braterstwa, opartym o religję i głoszonym przez Kościół, zasady takiegoż braterstwa, głoszonego przez wrogie Kościołowi sekty.

Zapożyczanie z nauki chrześcijańskiej haseł w tym celu, aby głosząc te same zasady, które szerzy Kościół, rywalizować z nim tem mocniej, uważamy zwykle za owoc czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Czy już 400 lat wcześniej czynili to samo na małą skalę Templarjusze? Czy byli zatem i pod tym względem prekursorami lóż, przeciwstawiających dziś, jak wiadomo, oparte o humanitaryzm, zasady braterstwa—nauce Kościoła o miłości? Przeniesienie pewnych systemów działania (czy też pewnych objawów, o ile w grę wchodziłby ruch w części spontaniczny) o kilka wieków wstecz, nie jest, gdy chodzi o walkę z instytucją tak starą, jak Kościół, rzeczą nieprawdopodobną, zwłaszcza, że poza Templarjuszami, jak dziś poza masonerją, stał ten sam duch żydowski i, niewątpliwie, organizacje żydowskie, mogące posiadać w walce z Kościołem tradycyjne sposoby działania.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że rywalizacja na tym punkcie z głoszonemi przez Kościół zasadami mogła odbywać się za czasów Templarjuszów tylko na małą skalę, wobec tego, że w XIV wieku nie istniały jeszcze właściwie nacjonalizmy, którym przeciwstawiała masonerja swoje hasło braterstwa narodów, robiąc i z tej, najbardziej chrześcijańskiej zasady, oręż walki. Dopiero czasy Wielkiej Rewolucji Francuskiej zrodziły odpowiednie podłoże, dzięki któremu hasło to pełnić mogło rolę nie twórczą, jaką odgrywa w nauce i interpretacji Kościoła, ale opozycyjną. Pozbawione tego opozycyjnego pierwiastku nie różniłoby się od zasad Kościoła, szerzenie go zatem przez organizacje, prowadzące z Kościołem walkę, mijałoby się z ich celem. Podane przez Przybyszewskiego tajne znaczenie Baphometa było zatem prawdopodobnie już w XIV wieku j e d n ą z t e o r y j, przeznaczoną dla bardzo niewielkiej wówczas liczby członków Zakonu, którzy z takich albo innych względów gotowi byli z Kościołem zerwać, którzy jednak rozumieli, że zasada nauki chrześcijańskiej, ogarniająca uczuciem wszystkich ludzi, jest czemś, czego nie można wykreślić bezkarnie z życia, nie cofając dziejów ludzkości wstecz. W myśl zasady „mówienia do każdego jego językiem”, trzeba było mieć dla tych ludzi, zakonspirowaną w nazwie Baphometa, najwyższą prawdę, zaczerpniętą z nauki chrześcijańskiej.

Hypoteza, przenosząca początki walki, polegającej na przeciwstawianiu dzisiejszego humanitaryzmu chrześcijaństwu, do wieku XIV i do historji Templarjuszów, pociągać musi historyka. Przyjęcie jej byłoby bowiem jednem więcej zadokumentowaniem tego, co wiemy o istocie i celach masonerji, rzucającem światło i na charakter jej walki z Kościołem i na udział w tej walce żydów. Niedyskrecje czy też rewelacje Przybyszewskiego hypotezę taką nasuwają.

MARJA STECKA

JARMARK POD JUREM

Z bruljonów pozostałych po ś. p. Maryli Wolskiej, pisanych na luźnych świstkach, nieraz na starych kopertach, — da się jeszcze zestawić dłuższe fragmenty poematów. Oto jeden z nich z cyklu „O dawnym Lwowie".

Zwykle tą samą porą,
w najzieleńsze, majowe ostatki,
alejami
szliśmy na jarmark we czworo:
rodzice i małych nas dwoje...

W ścisku,
ścieżkami jezuickiego ogrodu,
poprzez niedzielne, kolorowe roje,
popod wielkie kasztany,
zwisłe nad ścieżkami nisko...

Do dziś pamiętam krój
jednego fartuszka z krezką
i chwaściki krawatki...
A w kieszonce pieniędzy jak lodu...
Ciężkich, miedzianych czworaków
aż tyle, że można z tem pytać
ile kosztuje Kraków...

bo Lwów i tak już mój...

Powietrze pachnące i świeże...
W liljowych i białych bzach
stały klomby. Na rabatach jak zwykle
kwitły niezabudki, narcyzy, aurykle...
Szliśmy pod górę, wskos
i słychać już było zdaleka
harmoniki i fujarki
i dziada, co grał na lirze
i śpiewał po rusku przez nos...

Aż nagle,
za zielonym zakrętem,
przestrzeń w słońcu i szafirze,
pod nogami piach,
a przed oczyma świat zaczarowany.
namioty, kramy, stragany,
chorągwie wydęte jak żagle...
A dołem rwetes i — ściśle,
— któż to opisać potrafi! —
pisk, harmoniki, fujarki
i — ach!
one,
powytłukane dawno, zaginione,
najcudowniejsze, świętojurskie garnki!

Smukłe dzbany, sagany rozsiadłe boczasto,
tysiąc pokus, tych samych co roku,
te samo na prawo i lewo,
w słońcu, jak omastą,
szklące się mokrą polewą!
Zielone, brunatne, cieniowane okrą,
nakrapiane, pisane sjeną i sepią,
garnki mojej młodości,
których już święci nie lepią!

A górą, nad wszystkiem,
jak kura,
szeroka i gruba od piór,
jak na pisanki nasadzona kwoka:
cerkiew świętego Jura...

. . . .

. . . .

A potem, chłodem,
wracało się jezuickim ogrodem...
W milknącym powoli gwarze,
po ścieżkach snuli się jeszcze preclarze
i niańki z wózkami biełały jak gęsie stadka...
Czasem, tuż koło głowy, brązowy,
jak oszalała nagle czekoladka,
zahuczał chrabąszcz majowy...

A ja szłam
niosąc oburącz cały jarmarczny kram,
mój łup coroczny zwykły:
ogromne serce z piernika,
fujarki i garnuszki,
siwą kulę, w której kołatał groch...
i lalkę w sukni „princesse",
drewnianą, koloru ćwikły,
pomalowaną pstro...
(Dawno już niema takich lalek wcale.
Widać i lalek stare rody mrą!)
Była smukła jak kręgiel,
miała czarne jak węgiel nioby
i czarny nad karkiem kok,
a wzrok: dwie czarne kropki
nad trzecią, krwawą jak lak...

...I było jakoś tak
odświętnie i niezwykle...
pachniały na grządkach aurykle,
a na gazonach siano;
w rondelu grała wojskowa muzyka...

. . . .

I czułam, jak serce bije
— nie wiem, lalczyne, czy to własne we mnie...
a może to wielkie, z piernika? —
I było jakoś tak miło,
tak strasznie przyjemnie, jak we śnie,
tak jakoś bezpiecznie i wcześnie...

. . . .

. . . .

Już się skończyło...

MARYLA WOLSKA

NA WIDOWNI

K. L. Koniński o Włoszech i Abisynji. — Czy naród może być sędzią drugiego narodu. — Polska tradycja polityczna w tym względzie. — Poprawa dusz czy mechanizm „sankcyj".

KAROL LUDWIK KONIŃSKI ma jako publicysta zaletę rzadką w czasach obecnych i cenną: niecierpi powierzchowności. Nie ułatwia sobie nigdy zadania przez pomijanie czy świadome ukrywanie trudności omawianych zagadnień; wręcz przeciwnie, z upodobaniem wyraźnem usiłuje wniknąć w samo jądro kwestji, zgłębić ją do dna, ocenić wartość nietylko wniosków, ale, przedewszystkiem, przesłanek.

Tę dążność do rzetelności intelektualnej, tak znamienną dla wszystkich wystąpień tego pisarza, widać i w ostatnich jego uwagach o zatargu włosko-abisyńskim [1]). Z największą słusznością, a równocześnie precyzją stwierdza fakt oczywisty, iż kto oświadcza się jako zwolennik „bezwzględnej międzynarodowej walki o byt", musi zarazem „zrezygnować z tego, iżby nadal jeszcze być przeciwnikiem i wrogiem materjalistycznego i amoralnego" na świat poglądu: „Być moralistą, spirytualistą i konserwatystą kultury, i w dodatku chrześcijaninem, czy nawet katolikiem"... — pisze — i mimo to „twierdzić, że prawu do dziejów wstęp wzbroniony — owszem, to może być nawet wygodnie,— ale to są logiczne niechlujstwa". Niewątpliwie, a przecież wydaje mi się, że w tym, mianowicie, wypadku uznanie powyższych prawd nie wiele jeszcze przybliży nas ku zrozumieniu i rozstrzygnięciu istoty rozpatrywanego sporu. Nie tutaj bowiem mieści się właściwie sedno sprawy.

W rzeczy samej, trudność nie sprowadza się bynajmniej do odpowiedzi, czy w stosunkach pomiędzy narodami decydować powinny jakieś wyższe zasady etyczne, czy jedynie siła i słabość. I praktycznie, i teoretycznie góruje tu zagadnienie inne: czy jakiś naród, albo grupa narodów, może rościć sobie prawo moralne do tego, aby stać się, wobec drugiego narodu, sędzią, a nie stroną?

Par in parem non habet iudicium. Jeżeli, w państwie poszczególnem, jednostka otrzymuje władzę sądzenia drugiej jednostki, uzasadnia się to tem wyłącznie, że działa wtedy z ramienia i w interesie organizmu wyższego rzędu, t. j. narodu, i że ten naród właśnie, w imię swoich ideałów i dążeń, przez usta sędziów wyrokuje i zapewnia posłuch swojej woli. Naród, w istocie swej, jest czemś więcej, aniżeli sumą składających się nań jednostek, czemś moralnie wobec nich nadrzędnem, i tu przyczyna, że w stosunku do nich może on być sprawiedliwością a nie przemocą. Ale ludzkość nie jest już niczem więcej, niż sumą arytmetyczną stanowiących ją narodów, z całą ich teraźniejszością i przeszłością, jako odrębnych indywidualności historycznych. W imieniu jakiejż całości zatem, hierarchicznie wyższej, może chcieć jeden naród osądzać inne, jak nie we własnem, albo grupy narodów z sobą związanych?

Przejdźmy do konkretnych wypadków, będących przedmiotem dyskusji. Włosi oskarżają Abisynję, że w kraju tym panuje niewolnictwo, że ustrój jego urąga elementarnym pojęciom godności ludzkiej — i oświadczają, iż czują się w obowiązku, chociażby z bronią w ręku, zabezpieczyć na tem terytorjum wprowadzenie wyższych cywilizacyjnie form bytu. Anglicy (i ugrupowania antyfaszystowskie w innych krajach) oskarżają Italję, iż, niesprowokowana, zamierza najechać inne państwo, — i oświadczają, że czują się w obowiązku, chociażby siłą („sankcje") poskromić tego rodzaju zaborczość. Otóż nie chcemy bynajmniej głosić, że niewolnictwo nie jest rzeczą godną potępienia, albo że naród może napadać na nie szukającego z nim żadnej zwady sąsiada. Pytamy tylko, czy jedne narody są uprawnione, aby przemocą sprowadzać drugie na drogę cnoty? I tak ujmując rzecz, jesteśmy w zgodzie z najlepszemi tradycjami polskich pojęć o zasadach międzynarodowego współżycia. Paweł Włodkowic i uczeni kanoniści krakowscy w XV stuleciu napewno nie żywili najmniejszych wątpliwości co do tego, że chrześcijaństwo jest pod każdym względem i wyższe i szlachetniejsze od pogaństwa. A przecież na soborze konstancjeńskim postawili i zwycięsko obronili tezę, iż nie godzi się chrześcijanom siłą nawracać pogan. Widzieli zbliska, czego pretekstem stało się to „nawracanie" ogniem i mieczem dla Krzyżaków. Ale czyż dziś „sankcje w imię moralności międzynarodowej" nie byłyby czemś równie — conajmniej — egoistycznem i obłudnem?

Przestępcy, skazywani przez trybunał państwowy, mają mniej lub bardziej jasne poczucie, że następuje akt wymiaru sprawiedliwości, że np. sędzia, karzący więzieniem za kradzież, nie powoduje się w tym wypadku chęcią... usunięcia współzawodnika. Dlatego właśnie wyrok sądowy może oddziaływać pod względem psychicznym, budzić skruchę, zachęcać do poprawy. Ale jakiż naród, w swojem własnem sumieniu, zmieni pogląd na moralną słuszność swych decyzyj — na podstawie „sankcyj ekonomicznych" czy „militarnych" ze strony mocarstw-konkurentów?

Ostatecznie, wykroczeń przeciw moralności, nawet w zakresie politycznym, nie popełniają narody, jako takie, ale — w każdym wypadku — konkretne, określone całkiem osoby, które w danym momencie za politykę ową są w mniejszym albo większym stopniu odpowiedzialne. Otóż etyka chrześcijańska daje jednostce wyraźne zupełnie reguły postępowania, zarówno w dziedzinie spraw prywatnych jak publicznych, i na straży reguł tych stawia Sprawiedliwość wieczystą — a to jest także „sankcja", i to niebylejaka, jeśli się jest „chrześcijaninem, i w dodatku katolikiem", a nie jest skłonnym do „logicznego niechlujstwa" — jak się trafnie p. Koniński wyraził. Jest coś zabawnie nieporadnego w dzisiejszych próbach moralnego podnoszenia współżycia narodów przy pomocy mechanizmów zewnętrznych, gdy sposobem jedynym jest — duch chrześcijański i wysoka wartość etyczna jednostek, które każdy z tych narodów stanowią i nim kierują. Niech na czele państw staną ludzie o moralności chrześcijańskiej, niech w każdym kraju opinja chrześcijańska stanowi siłą tak wielką i świadomą, że niezgodnej z nią polityki nie ścierpi, — wówczas naprawa stosunków międzynarodowych dokona się automatycznie, sama przez się. W przeciwnym razie znów wracamy do dyle-

[1]) Karol Ludwik Koniński: „Dyskusja o Włochy i Abisynję", w nr. 40 „Myśli Narodowej" z dnia 29 września b. r., str. 609 i nast.

matu „nawracania pogan przemocą", i to w dodatku... nawracania pogan przez pogan...

Znane są i liczne w dziejach wypadki, że dla królów i kierowników państw rozstrzygającą w sprawach posunięć dyplomatycznych była, przedewszystkiem, opinja ich spowiedników. Ale nie sposób wyobrazić sobie ministra spraw zagranicznych, dla którego autorytetem moralnym byłoby zdanie ministra spraw zagranicznych drugiego kraju, albo nawet ministrów kilku państw, wyrażone w jakiejś wspólnej uchwale. Naturalnie, będzie się on liczył z takiem zdaniem, o ile stoi za niem siła rzeczywista, ale to już kwestja czysto polityczna, nie zaś moralna. I jasne jest też, że państwa, zagrożone napaścią, pragną sobie siłę taką, przez solidarność interesów politycznych, zabezpieczyć.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

OSTATNIE MIESIĄCE przyniosły szereg faktów bardzo symptomatycznych dla zrozumienia podłoża ideowego rządów pomajowych. Oto rozwiązano rady miejskie w Łodzi, Poznaniu i Gnieźnie oraz zrezygnowano z rozpisania wyborów do rady miejskiej w Warszawie, zadowalając się komisarycznym prezydentem i mianowanym przez rząd przybocznym „bajratem" nic nie mającym wspólnego z prawdziwem obliczem miljonowej ludności stolicy.

Dnia 30-go września mianowano takąż radę w Łodzi. Ile ma ona również wspólnego z wyraźną, pozbawioną wszelkich niedomówień, jednolitą postawą ideową robotniczych mas polskich, świadczą nazwiska nowych radców: trochę żydów, „kapitanów polskiego Manchesteru" czyli przedstawicieli przemysłu i tych, którzy już wskutek swego zestarzałego światopoglądu wyszli z obiegu życia publicznego. „Równocześnie"—donosi PAT — „p. minister spraw wewnętrznych powołał na stanowisko tymczasowego wiceprezydenta miasta Łodzi Mikołaja Godlewskiego, wicewojewodę w Łucku, zwalniając go na czas pełnienia powyższych funkcji od pełnienia tymczasowych obowiązków w służbie państwowej". Świetny styl komunikatu nie pozwola wprawdzie zrozumieć, która służba dla pana Godlewskiego jest tymczasowa: państwowa, czy „samorządowa", ale czyż jest się o co kłócić? Przecież to jedno i to samo...

Radę miejską w Poznaniu rozwiązano w przeddzień złożenia przez klub obozu narodowego, dominujący liczbą i znaczeniem, interpelacji w sprawie umieszczenia tablicy pamiątkowej w domu, gdzie się urodził Hindenburg. Ministerstwo w uzasadnieniu swego kroku z lekkiem sercem odmówiło radzie kwalifikacyj. Jest to zarzut. W życiu publicznem, które dba o poziom moralny, stawianie zarzutów nie odbywa się w sposób doryweczy, odruchowy. To też, przyznajmy, decyzja zapadła po upływie niemałego czasu od chwili wyborów. Można było przecież rozwiązać radę już w dzień jej ukonstytuowania, składała się wszak w większości z narodowców!

A jest to stanowcza dyskwalifikacja. Świadczy o tem jeszcze jeden przykład—Gniezna. Zaś wszystko razem oświeca, jak zaznaczyliśmy na początku, zakamarki ideowe obozu „sanacyjnego". Jeszcze jeden reflektor: nie rozwiązuje się samorządów o obliczu wprawdzie opozycyjnem, ale lewicowem. Weźmy Radom i Piotrków. Teraz już chyba wszystko jest zrozumiałe.

Jeśli do tego dodamy zeszłoroczny przebieg wyborów do ciał samorządowych, będziemy mieli całość obrazu ilustrującego dzisiejszy system.

Najlepiej ujmuje tę kwestję naczelny organ Stronnictwa Narodowego, „Warszawski Dziennik Narodowy", Czytamy tam:

Nie pomylę się, jeśli stwierdzę, że jedną z przyczyn klęski sanacji w wyborach sejmowych kryją zeszłoroczne wybory samorządowe. Zwłaszcza wieś do głębi wstrząśnięta została odebraniem jej wpływu na samorząd gromad, gmin i powiatów. Masa chłopsko odczuła to jako zamach na swoje prawa. I słusznie. Teraz zapłaciła zeszłoroczny rachunek".

Naprawdę, trudnoby było znaleść termin, któryby najtrafniej i najdosadniej określił to wszystko. Jednakże ze wszystkich terminów, najszęśliwszy wydaje się nam ten, który niedawno ukuł p. Stpiczyński.

Brzmi on: „ustrój wolnościowy".

PROCES O PRAWA TWÓRCZOŚCI NORWIDA I MIRIAMA w Sądzie Okręgowym warszawskim zakończył się wyrokiem, który przytaczamy za „Warsz. Dziennikiem Narodowym":

Nie mamy nic do powiedzenia o wyroku. Litera prawa musi mieć swoje konsekwencje. A był to proces handlowy. Szkoda, że wysunął literatów przeciwko sobie zamiast nakładców.

„W dniu wczorajszym zapadł w wydziale III karnym warszawskiego Sądu Okręgowego wyrok w sprawie, o której pisaliśmy obszernie w numerze niedzielnym, dotyczącej naruszenia praw autorskich przez prof. Tadeusza Piniego i p. Plebana, przysługujących Zenonowi Przesmyckiemu-Miriamowi. Sąd uznał winę oskarżonych za udowodnioną i skazał prof. Piniego na grzywnę zł. 1.000, p. Plebana na grzywnę zł. 500 oraz na zapłacenie na rzecz oskarżycieli zł. 3,000 pokutnego solidarnie. Pozatem powództwo cywilne postanowił sąd zostawić bez rozpoznania.

Sędzia Rybiński odczytał obszerne motywy wyroku. Sąd uznał m. in., że Miriamowi przysługuje prawo autorskie do wszystkich tekstów Norwida, na zasadzie uzyskania pozwoleń córki brata poety p. Marji Łempickiej, oraz ze względu na cechy twórczości Miriama przy ustalaniu tekstu oraz interpunkcji w pismach Norwida. W te samodzielne jak i nabyte prawa Miriama wkroczyli oskarżeni, których obowiązkiem było zwrócić się do niego o pozwolenie przedruku. Wobec tego sąd uznał ich winę za wkroczenie w prawa autorskie Miriama jako twórcy i następcy, oraz rozmyślne wyrządzanie szkody wydawcom p. Mortkowiczowej i Weliszowi.

Zarządzenie konfiskaty wydania Dzieł Norwida sąd odrzucił. Obrona zapowiedziała apelację".

Naszem zdaniem proces wogóle niewłaściwie był wszczęty. P. Zenon Przesmycki (Miriam) miał dosyć czasu na wykorzystanie swoich praw znalazcy, bo lat trzydzieści. Zawinił ciężko wobec społeczeństwa, że na plonie cudzej twórczości siedział tak długo, nie robiąc z nich użytku, a innym dostępu do nich nie dając, posiadanemi tajemnicami dezorjentując krytykę, nieraz wprawiając ją magją swych suggestyj w stan chorobliwy. Czynił tem krzywdę historji literatury, a przedewszystkiem samemu Norwidowi, którego kult uznał za powołanie swego życia. Nikt nie ma prawa fantować na prywatny użytek tworów literatury narodowej.

O twórczości Miriama, nadbudowanej nad twórczością Norwida, krytyka będzie miała wiele do powiedzenia, ale zostawiając tę sprawę na uboczu, biorąc zaś rzecz miarą ludzką zdrowego rozsądku, nie powinien się był czuć za pokrzywdzonego literat, który na posiadaniu dzieł Norwida zrobił wielką karjerę życiową i literacką, o jakiej nawet nie śnił Norwid dla siebie.

Największem cierpieniem Norwida było, że dzieła jego nie dochodziły do publiczności odrazu, że były odkładane i lekceważone. Po śmierci czekał na naprawę tej krzywdy lat 50, a gdy wreszcie znalazł się wydawca, który dzieła wielkiego poety ogółowi uprzystępnił, wtedy nie kto inny, lecz Miriam rzucił się na tego wydawcę i zażądał przez sądy skonfiskowania dzieł Norwida, a nadto dla siebie „pokutnego" zł. 10.000.

Ale społeczeństwo ma prawo domagać się „pokutnego" od Miriama za przetrzymanie przez lat 30 spuścizny Norwida, mają prawo domagać się pokutnego i spadkobiercy poety, jeśli w tym czasie żyli. Niechby jednak spełnił to jedno tytułem pokuty — niechby przyjął fakt wydawnictwa Piniego, jako konsekwencję własnej winy. Nie byłoby gorszącego widowiska.

Miriam nie mógł w żadnym razie mieć większych praw do twórczości Norwida, niż żyjący pośmiertnie sam Norwid. A tego pierwszem prawem było dotrzeć wreszcie do publiczności — do owego „wnuka" przynajmniej, o którym tak pięknie się pisało.

Jeśli zaś chodzi o krytykę, choćby najsurowszą, wydania Piniego, czy — z drugiej strony — o uznanie dla pracy Miriama, — wszystko to można było i należało załatwić w porządku literackim, bez pomocy sądowej.

NAUKA i LITERATURA

RODZICE i DZIECI

Z POWODU ogłoszonego teraz projektu działu polskiego Kodeksu Cywilnego o stosunkach prawnych rodziców i dzieci, w opracowaniu prof. St. Gołąba, wynikła bardzo interesująca i znamienna dyskusja. I. Baliński, St. Holewiński i R. Rakowiecki, sędziowie Sądu Najwyższego, zamieścili obszerną krytykę projektu w „Gazecie Sądowej Warszawskiej", przytaczając ważkie argumenty. W obronie zaś projektu stanęli: Ignacy Rosenblüth, sędzia okręgowy w Krakowie, w „Gazecie Sądowej Warszawskiej" i Maurycy Waldman w „Głosie Prawa", ograniczając się jedynie do zwykłej pochwały danej zasady lub przepisu.

Autor broszury teraz wydanej „Głos w dyskusji"[1]) ogranicza się do zanalizowania art. 16 i 30 projektu.

Art. 16 projektu zezwala wyraźnie matce dziecka nieślubnego na proste wskazanie urzędnikowi stanu cywilnego osoby ojca dziecka nieślubnego z podaniem jego miejsca zamieszkania.

Matka dziecka nieślubnego może tu wskazać kogo chce, nie wymaga się bowiem od niej ani udowodnienia, ani nawet uprawdopodobnienia ojcostwa. Jedyna obrona oskarżonego mężczyzny polega na tem, że doręcza mu się odpis jednostronnego oświadczenia, jakie złożyła matka dziecka nieślubnego i ów mężczyzna ma prawo w ciągu trzech miesięcy od daty doręczenia mu tego odpisu wytoczyć matce spór o nieprawdziwość jej oświadczenia. Projekt nie zawiera przepisu, że wskazany mężczyzna będzie uznany za ojca dziecka nieślubnego dopiero z chwilą, gdy, w wyniku wytoczonego przez niego sporu, zapadnie w tym przedmiocie prawomocne orzeczenie.

Projekt nie przewiduje żadnych ograniczeń ani żadnych warunków, jakim musiałaby odpowiadać matka dziecka nieślubnego przy składaniu swego oświadczenia urzędnikowi stanu cywilnego, zatem oświadczenie podobne będzie przyjęte nawet od prostytutki.

Projekt nie zawiera ani przepisu o jakiejkolwiek prekluzji, ani też nie wprowadza krótkiego przedawnienia. Oświadczenie takie matka może złożyć w każdym czasie, bez żadnego zgoła ograniczenia ustawowego.

Mężczyzna w wytoczonym sporze może tylko twierdzić negatywnie, że nie jest ojcem dziecka, dowód zaś na fakt negatywny, że nie miał on stosunku z matką dziecka, albo teza, że jej nie zna wogóle, będzie w większości przypadków niemożliwy, a to tembardziej, że zbadanie krwi nie daje niekiedy podstawy do definitywnych ustaleń. W sprawach tych żadnego nie będzie miał znaczenia ten fakt, że matka dziecka utrzymywała w tymże okresie czasu stosunki płciowe i z innymi.

Oczywiście przepis art. 16 da podstawy do wyzyskiwania, do nieuczciwych podszeptów i porad w przedmiocie wskazywania upatrzonej osoby jako ojca, przytem osoby w większości wypadków niewątpliwie zupełnie bezbronnej wobec tekstu ustawy. Krytycy podkreślili sowieckie źródło przepisu powyższego.

Ani p. Rosenblüth ani p. Waldman twierdzenia tego nie prostują; mimo to, że przepis ten jest przepisem prawa sowieckiego, łatwo pogodzili się z jego wprowadzeniem do prawa polskiego i są za jego utrzymaniem, a p. Rosenblüth nawet pochwala, że przepis ten wzoruje się na najbardziej postępowych ustawach nowoczesnych.

Art. 30 projektu stanowi, że Państwowa Władza Opiekuńcza może, już przed urodzeniem się dziecka nieślubnego, zarządzić, iż ojciec zapłaci natychmiast po jego przyjściu na świat do rąk matki lub opiekuna koszty utrzymania dziecka za pierwsze trzy miesiące, bez potrzeby uwiarygodnienia; jasne jest, że państwowa władza opiekuńcza może wydać podobne zarządzenie i po urodzeniu dziecka nawet wtedy, jeżeli matka prowadzi życie rozwiązłe.

Projekt polski nie jest identyczny z przepisami kodeksów niemieckiego i austrjackiego, jak twierdzą obrońcy jego, według bowiem obowiązujących tam przepisów koszty utrzymania dziecka za pierwsze trzy miesiące oraz koszty rozwiązania matki winien jest zapłacić tylko ten, który rzeczywiście w ciągu okresu utrzymywał stosunki cielesne z matką dziecka i z wyłączeniem przypadków: 1) gdy matka w ciągu tego czasu utrzymywała takież stosunki z innymi i 2) gdy okoliczności wskazują o niemożliwości urodzenia dziecka ze stosunku z danym mężczyzną.

Projekt polski jest bezwzględniejszy nawet od prawa sowieckiego, nie zawiera bowiem wyraźnego przepisu, że mężczyzna wskazany przez matkę nie będzie narazie uważany za ojca, o ile po zawiadomieniu go o oświadczeniu matki zgłosi sprzeciw, co prawo sowieckie w art. 29 wyraźnie przewiduje.

Autor broszury czyni słuszną uwagę, że projekt przyszłego Kodeksu Cywilnego, o ile dotyczy prawa rodzinnego, wymaga szczególnie ostrożnego opracowania.

Jest to dział prawa cywilnego, w którym stosunki danego narodu muszą być najszerzej uwzględnione i nie wydaje się tu możliwe naśladownictwo, prawa sowieckiego w szczególności.

Broszura warta przeczytania.

GUSTAW ZABŁOCKI

[1]) Jan Stanisław Konic: „Głos w dyskusji nad projektem działu Kodeksu Cywilnego o stosunkach prawnych rodziców i dzieci" (nr. 24). Warsz. 1935.

ZE ŚWIATA NAUKI I LITERATURY

Na kongresie historyków polskich w Wilnie sensację wywołał fakt, że jeden z poważnych referentów usprawiedliwił swą nieobecność brakiem pieniędzy na bilet kolejowy. Musiał to być historyk ubogi także w stosunki polityczne. Z pośród „inteligencji", posługującej się koleją, 3/4 podróżuje bezpłatnie. Krążą pociągi pełne turystów politycznych, jadących prawie za darmo.

Brak solidarności i wzajemnej pomocy w sferach naukowych. Gorszący wypadek zaszedł z zasłużonym badaczem dziejów prof. Feliksem Konecznym, który szereg lat napróżno kołatał o pomoc w sprawie wydania kapitalnego dzieła „O wielości cywilizacyj". Wyszło ono obecnie— skrócone dla oszczędności, — nakładem autora, nakładem groszy oszczędzanych przez emeryta na jedzeniu. Nawet gdyby nauka oficjalna na takie lub inne stanowisko się nie godziła, to przecież chlubą jest literatury naukowej rozmaitość kierunków i dyskusja. A dzieło prof. Konecznego jest bardzo ciekawe i ważne.

Dziwna to epoka w naszem życiu umysłowem. Analfabeci układają plany reform kultury i cywilizacji, a głos uczonego, ktory w dzieło o cywilizacji składa, wyniki pracy całego życia i niepospolitego daru myślenia, — zlekceważony.

Jest to rzecz do naprawienia przez szybkie rozpowszechnienie książki Konecznego w kołach oświeconych.

*

Kasa im. Mianowskiego, jak słychać, zamierza wydawać dwa nowe czasopisma. Ukażą się wkrótce pierwsze zeszyty pisma naukoznawczego „Organon" oraz poświęconej nauce prawa „Themis polskiej". Z cyklu prac etnograficznych St. Ciszewskiego, prof. Moszyński przygotowuje do druku tom czwarty p. t. „Ród". W przygotowaniu również jest dzieło prof. Wł. Konopczyńskiego „Konfederacja barska". Prof. R. Pollak przygotował nowy tomik z „Bibljoteki zapomnianych poetów": Wiersze Jana Smolika. W najbliższej przyszłości rozpocznie się druk opracowanych zbiorowo „Dziejów Polski" w 10 tomach, oraz tomu uzupełnień Słownika języka polskiego (Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwieckiego).

Co do druku dalszych tomów Mickiewicza, czego podjął się Skarb Państwa, wszystko pozostaje w zawieszeniu z powodu braku środków.

*

Na konkurs dramatyczny Akademji Literatury nadesłało utwory 300 autorów. Komitet konkursowy z dzieł tych odłożył tylko 15 do wspólnego czytania.

Sąd konkursowy postanowił jednogłośnie nie przyznać pierwszej nagrody żadnemu z nadesłanych utworów. Drugą nagrodę w wysokości 3,000 zł. przyznano dramatowi w 3-ch aktach p. t. „Bogoburcy". Trzecią nagrodę w wysokości 2.000 zł. przyznano komedji w 3-ch aktach p. t. „Dowód osobisty Zebrzydowskich".

Po otwarciu kopert okazało się, że autorem dramatu „Bogoburcy" jest Jerzy Ostrowski, autorką zaś komedji p. t. „Dowód osobisty Zebrzydowskich" jest Marja Jasnorzewska (Pawlikowska).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Włodzimierz Bączkowski. „Wschód a Polska". Wyd. kwart. „Wschód", 1935.

Autor przedstawia stan wpływów Wschodu na Polskę i wpływów Polski na Wschód. Od czasów najdawniejszych decydowały o tem elementy fizyczne, czynnik stepu wdzierający się w Wołyń i Podole, zasięgiem odległych okolic Wielkiego Mura Chińskiego poprzez Tyber, Mongolję, Turkiestan, część Persji i Afganistanu, część Syberji Wschodniej i wybrzeży morza Kaspijskiego i Czarnego. Wpływowi temu, ujemnemu i niszczącemu, przeciwstawił się twórczy rozpęd żywiołu polskiego w kierunku uspołecznienia napływowej ze wschodu ludności i zbliżenia tej ziemi do cywilizacji. Uszlachetnienie na dalszą metę tego zbiorowiska nie powiodło się, nie zmieniło jego natury wrogiej wyższej kulturze.

Natomiast wpływy istotnego Wschodu, t. j. Tatarów i Turków, rozprzestrzeniły się w Polsce szeroko i przetrwały do dzisiaj. Słownictwo, malowniczość życia, dekoracyjność stroju i wnętrza domów, taktyka sztuki wojennej, sentyment tajemniczości w literaturze, wskazują na żywotne działanie pierwiastków wschodnich. Autor omawia w skrótach wiele z tej dziedziny materjału, przyczem snuje wnioski polityczne, nie zawsze szczęśliwe. Nie było w świadomości ukraińskiej odrodzenia myśli politycznej, gdyż tę myśl i świadomość dopiero w ostatnich dziesiątkach lat sfabrykowały pieniądze niemieckie. O ile zaś poprzednio do tego fermentu przyczyniali się Polacy, to tacy jak pisarz Czajkowski i magnat Potocki fantaści, albo publicysta Sękowski i bajarz Bułharyn renegaci, płatni przez rząd rosyjski dywersanci. Wogóle książka niepotrzebnie została zamącona bieżącemi, tendencjami politycznemi, co jej naukową wartość obniża. Także dziwna jest bezkrytyczność w powoływaniu się na wnioski innych pisarzów. Obok rzeczowych danych z Rocznika Tatarskiego, Herbarza Dziadulewicza i prac Talko-Hryncewicza figurują, a szkoda, traktowane serjo bałamutne wywody J. K. Kochanowskiego i dziennikarskich efemeryd p.p. Ottona Forst-Battagli i Jana St. Bystronia.

(A. W.)

*

Wśród naukowych wydawnictw Zakładu Narodowego im. Ossolińskich ukazało się drugie, uzupełnione wydanie dzieła dr. Eugenjusza Piaseckiego, prof. Uniwersytetu Poznańskiego p. t. „Zarys teorji wychowania fizycznego". Str. XVI+416. Rycin 77. Cena zł. 16.

Jedyny u nas profesor teorji wychowania fizycznego, mający za sobą trzydziestolecie zgórą doświadczenia naukowego i dydaktycznego, daje nam tu wszystko, co można było pomieścić w ramach podręcznika. W części ogólnej (182 str.) kładzie podwaliny wiadomości zasadniczych. Rozpatruje zatem kolejno, w pierwszych dwóch rozdziałach, istotę tego działu wychowania, jego granice wobec dziedzin sąsiednich, jego cele i środki, układ całości. Dwa dalsze rozdziały zajmują się zdobyczami naszej wiedzy w zakresie fizjologji pracy mięśniowej, wraz z najkonieczniejszemi wiadomościami z dziedziny patologji. W rozdz. V — VI autor zaznajamia czytelnika z odrębnościami grup i jednostek, domagającemi się uwzględnienia w wychowaniu fizycznem. Należą tu przedewszystkiem płeć i wiek, którym też poświęcono cały rozdział V. Poza tem typy rasowe, wiek fizyczny, konstytucja cielesna, stopień wyćwiczenia, stan zdrowia, temperament, charakter, wychowanie fizyczne narodowe.

Część szczegółowa przynosi systematyczny przegląd ćwiczeń cielesnych. Autor zaczyna od rozbioru prostszych elementów, ugrupowanych według organów i funkcyj, na które najwybitniej wpływają (rozdz. VII—X). A zatem ćwiczenia układu ruchowego, ćwiczenia układu nerwowego, a potem prostsze ćwiczenia czynności wegetatywnych: chód, bieg, skok, zwis, podpór, rzut, cios i t. p.; jazda konno, kolarstwo, pływanie, wioślarstwo, narciarstwo, łyżwiarstwo.

*

Dr. Władysław Sowiński. „Prawo handlowe morskie w zarysie wraz z przepisami o asekuracji morskiej i zestawieniem przepisów administracyjno-morskich". Warszawa, 1925. Skład główny Książnica-Atlas. Str. 297.

Praca dr. Sowińskiego jest drugą z rzędu w naszym młodym dorobku naukowym w tej dziedzinie. Pierwszą była wydana w r. 1930 książka d-ra A. Majewskiego „Prawo morskie", która zawiera częściowe streszczenie norm IV księgi kod. handl. Praca d-ra Sowińskiego daleko wybiega poza ramy tamtej książki i stanowi obszerne porównawcze studjum, w którem niejednokrotnie spotyka się judykaty sądów zagranicznych w żywotnych kwestjach spornych z dziedziny transportu morskiego. Ukazanie się tej pracy nastąpiło prawie równocześnie z utworzeniem Polskiego Stow. Prawa Morskiego w Warszawie, którego autor jest jednym z najbardziej czynnych członków.

MUZYKA

W LIPCU ROKU UBIEGŁEGO podczas zjazdu Instytutu Współpracy Intelektualnej Jules Romains, dyskutując z wywodami André Lhote'a na temat konieczności tworzenia przez państwa akademij malarstwa współczesnego zauważył, „...że byłoby to stworzenie nowego akademizmu, który przedawniłby się równie szybko jak poprzedni [1]). „Naogół" — czytamy — „zasada szkół artystycznych nie spot-

[1]) „Plastyka" Nr. 2, str. 25.

kała się z licznemi aprobatami. Pospolity bowiem jest lęk, żeby nie zdławiły one genjusza, gdyż zawsze ma się na widoku wybuch genjusza, a nie stworzenie szerokiego i bogatego ruchu zbiorowego, który jest zresztą najlepszym terenem, na jakiem zjawić się mogą wyjątkowe natury“ [2]). Słowa wielce charakterystyczne, szczególnie dla plastyki, gdzie się wyczuwa powszechne życzenia jakiejś zmiany, dużej zmiany. Muzyka, szczególnie polska, jest w wyjątkowo szczęśliwem położeniu, jeśli idzie o koncepcje twórcze; zjawisko prymitywu Podhala zapładnia ją do tej pory w sposób zawsze zadziwiająco świeży i nowy. Nic tu niema z powtarzania z wyjątkiem zrozumiałego wpływu, jaki wywiera na młodszych wielka indywidualność Karola Szymanowskiego. Inna sprawa, czy polska twórczość znajduje oddźwięk taki, na jaki ze wszech miar zasługuje — i tu już wypływa sprawa poziomu ogółu. Sprawa to najważniejsza. Nie podniosą go najlepsze nawet koncerty, skoro ich nikt nie będzie słuchał, jeśli nie będzie się wyczuwać potrzeby oddania paru chwil muzyce. A potrzeby te zabija się obecnie już w szkole średniej, gdzie naukę śpiewu (oraz naukę rysunku) potraktowano bardziej niż po macoszemu. Nie wpływa dodatnio na podniesienie poziomu instytucja Radja, które przecież mogłoby uczynić bardzo wiele. Dziś nazwaćby je można śmiało rozsiewalnią złego smaku. Program bowiem „nadawanej“ muzyki mieści się tu mniej więcej w granicach od dzisiejszego dancingu do produkcyj orkiestrowych wczorajszego kurortu. Gust publiczności, owych trzyzłotowych miesięcznych abonentów, decyduje tu wyraźnie. Żadnych wysiłków celem narzucenia im własnej, dobrej jakości smaku. Kwietyzm i *businness*.

Katastrofalnie poprostu przedstawia się sprawa opery. Jest to dzisiaj bolesna kompromitacja, no i dobry, bardzo dobry dokument czasu.

Jakież lekarstwo znaleźć, jakiż sposób na zbudzenie zainteresowania muzyką chociażby tylko oświeconego ogółu? Temat do dyskusji — zwrócę jednak uwagę na jedno — znaczenie muzyki kameralnej. Szczęśliwej inicjatywie urządzania koncertów, poświęconych muzyce współczesnej, obok świetnych audycyj Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki należy głośno przyklasnąć. Inicjatywa jednak winna pójść dalej. Trzeba szerzyć zainteresowanie muzyką kameralną, trzeba opracować materjał nutowy, propagować go i udostępnić najszerszym kołom. Niema bodaj tak małej miejscowości, gdzieby nie mógł powstać zespół kameralny. Czas już skończyć z tem przeświadczeniem, że sabarytystyczna, leniwa konsumpcja natłoku melodyj radjowych spełnia swoje propagandowe zadania. Powtarzam: konieczna jest tu rewizja poglądów i reakcja. Mocna reakcja.

Szerzenie kultu muzyki kameralnej wydaje mi się dzisiaj zadaniem najważniejszem. Uprzytomnijmy sobie, że przecież może się to stać początkiem doniosłego i tak oczekiwanego procesu umuzykalnienia. Warto włożyć dużo wysiłku. Naprawdę warto.

W. NARUSZ

FILM

PAN: „Dwie Joasie“, reż. Krawicz, wytwórnia Blok-Muza-film.

„Dwie Joasie“ możemy śmiało zaliczyć do utworów udanych. Rzecz o charakterze wyraźnie rozrywkowym posiada nareszcie prawdziwy scenarjusz, a nie, jak to zwykle dotychczas bywało, szkic kiepskawego pomysłu, łatany czem się da. Scenarjusz udatnie skonstruowany ma sporo dobrych pomysłów, zręcznie gmatwanych sytuacyj, zabawnych *qui pro quo*. Wprawdzie cała komedyjka, miejscami o zacięciu niepotrzebnie farsowem, została sporządzona według formuł i wzorów aż nadto znanych i nieraz już stosowanych, tem nie mniej tempo jest wartkie, akcja żywa, każdym odcinkiem taśmy posuwa rozwój fabuły naprzód. Te właśnie zalety scenarjusza wykreśliły aktorom dokładny plan działania, uwalniając całość od miejsc pustych, zatykanych doraźną improwizacją, już podczas nagrywania w *atelier*.

Na ucho możemy sobie powiedzieć, iż nie byłoby tego filmu, gdyby nie ogromne powodzenie, jakiem cieszyły się u nas austryjackie filmy z Franciszką Gaal („Csibi“, „Piotruś“, „Mała Mateczka“), skąd właśnie niejeden pomysł do „Dwuch Joaś“ zaczerpnięto. Czy to brak inicjatywy ze strony naszych filmowców? Sądzę, iż raczej brak odwagi był powodem powstrzymywania się od tego rodzaju tematów. Na pomysły, z filmów z Franciszką Gaal, nie tak trudno było wpaść (zresztą i tam nie użyto ich po raz pierwszy), lecz dopiero przyjęcie, jakiego one doznały ze strony naszej publiczności, zadecydowało i rezultatem są właśnie „Dwie Joasie“.

W podwójnej roli obu Joaś występuje pani Smosarska i trzeba przyznać, że poświęcając swoją urodę dla roli, wynagrodziła nam to z nawiązką, obdarzając żywo i dobrze zagraną postacią „brzydkiej Joasi“. Znakomicie zwłaszcza wystudjowane zostały przez nią ruchy młodej skromnisi: drobny, prędki kroczek, kręcenie figurą, łokcie nazewnątrz... Niepotrzebnie tylko przesadzono w zbrzydzaniu aktorki; okulary, gładkie uczesanie i suknia bigotki, pod szyję, wystarczały, poco ta okropna grzywka i kok? Przecież ta niewinna mistyfikacja jest kwestją umowną (umówmy się, że jej nie poznają przebranej...) a widz, z racji wyglądu, nie powinien tracić sympatji do bohaterki filmu, która, jak to wynika z treści, jest osobą nader sympatyczną.

Postać mecenasa-birbanta, w interpretacji Brodniewicza, partnera Smosarskiej, wypadła blado. Natomiast znakomity był Znicz; ten świetny aktor nigdy nie przesadza, przytem potrafi nasycić oddawane przez siebie postacie wewnętrznem ciepłem. Jego stary dependent chwilami nawet nie śmieszy, tylko poprostu wzrusza, jak np. w scenie oświadczyn. Gdyby można było grać Prusa — Znicz przedewszystkiem musiałby to zrobić.

Kończąc — „ze względów pedagogicznych“ — wskażemy na kilka usterek. A więc najgorzej wypadła scena balu, pozbawiona tempa, no i daleko mniej dowcipna, niż inne. Szarża Grabowskiego, w roli dyrektora domu mód, tym razem jest usprawiedliwiona, za to Ruszkowskiego — już mniej. Ten aktor ma dużo rasy. Niestety, w filmie naszym dotychczas nie umiano go użyć. Co do tekstów — są niezłe, przydałoby się tylko nieco więcej inteligencji i dowcipu djalogom lirycznym (Smosarska—Brodniewicz).

W tym filmie są dwie piosenki; podczas śpiewania jednej z nich ciągle pokazują nam wątpliwej urody twarz śpiewaka, którego babcia, a nawet i mama napewno nie były aryjkami. Poco? Ostatecznie wiadomo, c z e m się śpiewa.

APOLLO: „Wyprawy Krzyżowe“ reż. Cecil B. de Mille, film Paramount'u.

Ten film, specjalisty od utworów historycznych, doświadczonego i znakomitego, zwłaszcza w operowaniu tłumami, posiada bezsporne zalety reżyserji i duże wartości plastyczne. Ponieważ tu chodzi jednak nie o co innego, tylko wyprawy krzyżowe, potężny ruch religijny średniowiecza, należy zwrócić uwagę i na to, jak reżyser zarysował tło tego ruchu. Niektórzy uważają za wielki błąd artystyczny, gdy z powodu nieznajomości, lub lekceważenia historji, reżyser pokaże nam w filmie historycznym jakiś szczegół stroju, lub sprzętu, np., nie z tej co trzeba, epoki. To nie są rzeczy zasadnicze mojem zdaniem. Ważniejsze jest, aby człowiek, w filmie odtwarzającym czasy średniowiecza, postępował i myślał w sposób dla tych czasów prawdopodobny. Udaje się to Cecilowi de Mille wtenczas tylko, gdy pokazuje nam ludzi od zewnątrz. Natomiast, gdy usiłuje wniknąć w psychikę ludzi średniowiecza, ujawnić pobudki ich postępowania, na tle doznanych przeżyć, wkracza — mam wrażenie — na teren dla siebie obcy. To też gdy mówi o religji obrazami jej zewnętrznych przejawów (np. wejście w bramy Jerozolimy procesji śpiewających pieśń religijną Krzyżowców) stwarza fragmenty naprawdę piękne i budzące wzruszenie. Kiedy jednak tłumaczy nam przez usta bohaterów, Ryszarda Lwie Serce i jego ukochanej, dlaczego trzeba zawrzeć z „niewiernymi“ pokój i jakie ponieść w tym celu ofiary, wikła się w jakieś mętne kombinacje, dla psychiki średniowiecza bardzo podejrzane.

Sceny walki w reżyserji de Mille'a wypadły oczywiście znakomicie.

KANDYD

[2]) Tamże.

POKŁOSIE

DŁUGI

PARĘ wiadomości z dzienników:

„Spółdzielnie mieszkaniowe. W obecności kilkuset delegatów z całego kraju odbył się zjazd spółdzielni mieszkaniowych. Przez aklamację (co za entuzjazm!) uchwalono wniosek, że ruchowi spółdzielczo-mieszkaniowemu grozi całkowite załamanie z powodu nadmiernych długów. Zjazd zwraca się do władz, aby umożliwiły oddłużenie spółdzielni przez obniżenie stopy procentowej, umorzenie zaliczek, odsetek i kar oraz wstrzymanie kroków egzekucyjnych".

Druga wiadomość dotyczy zadłużenia urzędników:

„Znane nam są wypadki na prowincji zadłużenia urzędników na odpowiedzialnych, kierowniczych stanowiskach, sięgające aż 10-ciu i 12-tu tysięcy złotych — a liczniejsze jeszcze wynoszą 6 — 7 tysięcy zł. Pobory tych urzędników wynoszą 400 — 500 zł. mies. Wszyscy ci urzędnicy, o których mówimy, nie zaciągali długów lekkomyślnie. Zmusiły ich do tego warunki życiowe, a ponadto poręczenia za kolegów... Nie będziemy tu rozwijali przyczyn i przykładów, a jest ich tysiące, — ograniczymy się dziś jedynie do stwierdzenia, na podstawie szczerych, poufnych, a najzupełniej autentycznych rozmów i zwierzeń, że spora liczba urzędników państwowych zadłużona jest do wysokości dwuletnich poborów".

Wreszcie w jednym z dzienników w artykule, omawiającym upadek wpływów ziemiaństwa na wsi, czytać było można, że chłop nie może zrozumieć, iż ziemianin, któremu inflacja przed niedawnemi laty oczyściła hypotekę, zadłużył się w ciągu paru lat znów po uszy i przymila się do władz o ulgi, skreślenia i t. d.

Przy czytaniu tego rodzaju wiadomości ogarnia mnie, muszę przyznać, pewne uczucie doznawanej od losu krzywdy. Bo że też to nikt nigdy nie zainteresował się mojemi długami i nikt nie podniósł społecznego znaczenia i konieczności przedsięwzięcia akcji oddłużenia mojego budżetu. Widocznie fakt, iż nie jestem ani urzędnikiem, ani członkiem spółdzielni mieszkaniowej, ani wreszcie właścicielem ziemskim, tylko zwykłym przedstawicielem t. zw. wolnych zawodów, nie uprawnia mnie do robienia długów na rachunek Grecji. Podejrzewam nawet, że gdybym zjawił się w jakiejś instytucji z propozycją zajęcia się uzdrowieniem mojego stanu finansowego, to mogłoby się to łatwo skończyć na oddaniu pod dyskretną obserwację kompetentnych psychjatrów.

Melancholijne są to rozważania, ale trudno, widocznie rolą moją jest tylko dostarczanie środków podatkowych na spłacanie długów innych obywateli. Ale skoro tak jest, to chciałbym sobie uświadomić, skąd u licha, mimo braku, jak twierdzi jedna z cytowanych notatek, lekkomyślności, bierze się to powszechne zadłużenie?

Delegaci członków spółdzielni mieszkaniowych uchwalili, jak czytaliśmy, przez aklamację wniosek, stwierdzający nadmierne zadłużenie. Przyznam się, że pierwszy raz słyszę o aklamacji w takim wypadku, ale mniejsza o to. Skąd się to nadmierne zadłużenie wzięło? Dążenie do posiadania własnego domu jest ze wszech miar chwalebne, ale zawsze utrzymywało się mniemanie, że dla człowieka żyjącego z płacy zarobkowej, urzędnika państwowego czy prywatnego, zdobycie własnego, choćby skromnego, dachu nad głową jest rzeczą trudną, osiągalną zaledwie pod koniec pracowitego i oszczędnego żywota. Takie było rozumowanie gospodarki gotówkowej. Uznane ono zostało jednak za przestarzałe przez gospodarkę kredytową, rozwiniętą u nas i popartą przedewszystkiem przez państwo. Budowano więc na kredyt, bez grosza kapitału własnego, na rachunek przyszłych oszczędności. Ba, kiedy właśnie o tych oszczędnościach zapomniano. Nie mówię już o w wielu wypadkach nadzwyczaj lekkomyślnem obchodzeniu się z pożyczonemi pieniędzmi, o budowaniu bez żadnego fachowego pojęcia, co doprowadziło do potwornie przesadnych nieraz kosztów, ale w zasadzie budownictwo to nie było bynajmniej oszczędne. Najlepszy dowód, że budowano w ogromnej przewadze mieszkania większe, których dziś jest prawie nadmiar, a pogardzano mniejszemi, których wciąż jest dotkliwy brak. Wszyscy mieli nadzieję, że się dorobią, a kredyt był!

Nie dość na tem, że budowano mieszkania większe, ponad możliwości oszczędnego budżetu, ale częstokroć budowano je zbytkownie. Znam spółdzielnię urzędniczą, która wybudowała gmach z takim luksusem i takiemi urządzeniami, na jakie mogą sobie pozwolić tylko ludzie prawdziwie bogaci, nie zaś pracownicy, mający z oszczędności miesięcznych spłacać budowę. Rezultat jest ten, że większość właścicieli mieszkań dawno już musiała się wynieść do skromniejszych lokali, wynająwszy swoje, zresztą poniżej kosztów amortyzacyjnych, a cała spółdzielnia robi bokami i jej delegat napewno był w liczbie owych aklamatorów. Zamiast aklamacji przedstawiele spółdzielni powinni się raczej bić w piersi, bo bardzo lekkomyślnie obchodzili się ze środkami, dostarczonemi im przez ubogie społeczeństwo, a teraz skutki tej lekkomyślności przerzucają znów na ogół.

Sprawa zadłużenia urzędników jest stara jak świat i czytając o niej w ciągu mniej więcej pół wieku można było dojść do przekonania, że jest ona jakiemś zjawiskiem naturalnem, żywiołowem, z którem trzeba się liczyć, ale któremu zapobiec nie sposób. Ale i tu nie należy zamykać oczu na niewątpliwą w wielu wypadkach, zbyt jak na nasze stosunki wysoką, stopę życiową. Jest to zrozumiałe; odczuwamy potrzeby, stworzone przez społeczeństwa znacznie bogatsze i staramy się te potrzeby zaspokoić, chociaż w wielkiej części są to rzeczy nieistotne, a kosztowne. Przykładów każdy wiele ma przed oczami, a najwięcej może jest zbytku w wychowaniu dzieci, zbytku w dosłownem znaczeniu, bo polegającego nie na daniu dziecku o ile możności wszystkiego, czego do zadowolenia i rozwoju potrzebuje, lecz rzeczywiście rzeczy zbędnych. Przechadzka nie wystarcza, musi to być koniecznie wycieczka w góry na narty, pobyt na wsi jest tani, ale Staś nie widział jeszcze morza, a ma już całe 9 lat, więc jedziemy nad morze. I tu działa pewnego rodzaju moralna gospodarka kredytowa. Stwarzamy potrzeby w nadziei, że kiedyś się dorobimy tak, aby je móc zaspokoić. Nie wiadomo, jakie skutki z tego wynikną.

Znaczna część naszego społeczeństwa, i to nadająca ton, żyje nad stan. To jednak musi się zmienić. Przecież nawet w obozie radosnej twórczości pisze się dziś (patrz artykuły p. I. Matuszewskiego), że niema innej drogi do dobrobytu, jak praca i oszczędność. Grecji ostatecznie może się znudzić płacenie.

ARGUS

NA MARGINESIE

W świecie literackim interpretują stanowisko Miriama w ten sposób:

Ponieważ Norwid jest własnością literacką Miriama, więc nikt nie ma prawa dzieł Norwida ogłaszać za jego życia, a nawet przez 50 lat po jego śmierci. Można więc liczyć, że społeczeństwo odzyska prawa do Norwida w XXI stuleciu. O ile nie znajdzie się do tego czasu nabywca praw do własności Miriama i nie przedłuży tego terminu jeszcze o lat 50.

*

P. Korolewicz-Waydowa jest ogromnie rozgoryczona surową oceną, z jaką w prasie spotkał się bilans artystycznej jej działalności, jako kierowniczki opery stołecznej.

— Przecież robiłam, co mogłam — mówi — i starałam się o zachowanie właściwej hierarchji dzieł i autorów... Trudno żądać, abym wyżej stawiała „Harnasiów" niż „Dybuka"...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.